



Jamisan Whitney



Meandry życia

Rozdział pierwszy

- Biuro, zgłoś się. Tu Gazela. Właśnie ukończyłam rundę wokół Jackson - krzyknęła do krótkofalówki Bree Jeffries. Znajdowała się na zatłoczonym skrzyżowaniu w Chinatown. - Onnark chce, żeby mu dostarczyć potwierdzenie zgody na piśmie, więc wracam do punktu A. Za dziesięć minut będę gotowa przyjąć kolejne zlecenie. Odbiór.

- Gazela, meteorolodzy zapowiadają ulewę - zakomunikował młody mężczyzna. - Mówiłem, żebyś wzięła kurtkę. Wkrótce będziesz wyglądała jak uczestniczka konkursu mokrych podkoszulek - dodał ironicznie.

Nowa zniewaga! Poczula się urażona zbyt poufałym tonem jego głosu. Spojrzała na zachmurzone niebo. Po chwili spadły pierwsze krople deszczu.

- Karl, deszcz to tylko H₂O, więc z pewnością mi nie zaszkodzi. A ty jeśli chcesz zachować tę ciepłą, suchą posadkę, nie zużywaj zasobów swojej inteligencji na dwuznaczne komentarze. Zrozumiałeś... ?

- Tak jest, kierowniczo! Powiedziałaś to dostatecznie głośno i wyraźnie - odparł pokornie. - Przywołaj mnie, kiedy będziesz gotowa.

Bree uśmiechnęła się i potrząsnęła głową. Nieważne, że padało, kochała swoją pracę. Cztery dni w tygodniu nosiła dyrektorski uniform i pełniła rolę właścicielki Softpedalers Incorporated. Ale raz w tygodniu zakładała sportowy strój. Tak ubrana przemierzała na rowerze zatłoczone ulice San Francisco wraz z posłańcami, którzy pracowali dla niej.

Wciąż przezywano ją „Gazelą”. Przydomek ten nadali jej zawodnicy jeszcze w czasach, gdy brała udział w międzynarodowych wyścigach

rowerowych. Nawet teraz potrafiła zwinnie niczym kozica poruszać się na najbardziej zatłoczonych ulicach, więc przezwisko pozostało.

Ulewa przybrała na sile. Deszcz zmoczył czerwone nylonowe spodenki i białą sportową koszulkę Bree. Mokre ubranie przylgnęło do ciała i nieprzyjemnie ziębiło. Drżąc z zimna, kobieta jechała w dół ulicy Schwinn.

Stwierdziła, że między dwoma rzędami samochodów pozostał wystarczająco szeroki pas jezdni, aby przejechać tamtędy na rowerze. Dzięki temu ułatwieniu mogła nadrobić cenne minuty, które straciła przez deszcz. Minęła następne skrzyżowanie i zamierzała wjechać na ulicę Jackson. Rozejrzała się dookoła.

„Dalej!” - szepnęła do siebie. Wyobraziła sobie, że w tej chwili bije rekord i że przed nią nie ma żadnych przeszkód.

Nagle, nie wiadomo skąd, wyłonił się inny rowerzysta. Bree miała tylko sekundę, żeby zauważyć, iż jest on Azjata tak jak ona i że ma na sobie garnitur.

- Rowerzysta z lewej! - pisnęła, zdając sobie sprawę, że mężczyzna jedzie prosto na nią. Ostrzegawczy sygnał dzwonka został zagłuszony przez łomot, powstały w momencie zderzenia. Bree straciła równowagę, a jej mały rower zarzuciło na pobocze. Dziewczyna usiłowała manewrować, lecz oba pojazdy złączyły się ze sobą, wjechały na chodnik i wpadły na stragan z upominkami. Gliniane figurki z brzękiem roztrzaskały się o płyty chodnika

Na nieszczęście rowery pędziły dalej, gdyż zdezorientowani rowerzyści nie panowali nad swymi pojazdami. W końcu z wielkim hukiem uderzyli w ścianę kartonowych pudeł.

Bree otworzyła oczy. Właściciele sklepików i ciekawscy przechodnie zebrali się wokół miejsca wypadku. Dziewczyna bezradnie spoglądała na tłum. Nie wiedziała, co się dzieje. Obok niej leżał dobrze zbudowany mężczyzna. Najprawdopodobniej nie odzyskał jeszcze przytomności.

Poczuła dziwną słodką woń. Po chwili Bree zlokalizowała źródło zapachu. Dookoła znajdowało się mnóstwo ciasteczek, które potocznie nazywano „ciasteczkami fortuny”. Dziewczyna zaczynała rozumieć, co się wydarzyło. W wyniku kolizji został zniszczony niemalże cały transport słodkości. Ciasteczka wysypały się z uszkodzonych opakowań i teraz zalegały prawie cały chodnik.

Ciekawski tłum zaczął szemrać. W zasadzie mieszkańcy San Francisco oswoili się z widokiem drobnych wypadków powodowanych przez gońców śmigających beztrąsko na swoich rowerach. Bree domyśliła się, iż niektórzy odczuwają pewną satysfakcję, że tym razem brawura dwóch cyklistów została ukarana.

Nie zwracała uwagi na gapiów, próbowała rozprostować swoje kończyny. Robiła to wolno i delikatnie, aby zmniejszyć ewentualny ból. Spodziewała się, że ten wypadek mógł zakończyć się nawet poważnym złamaniem kości. W tego rodzaju sytuacjach miała pewne doświadczenie, gdyż przez prawie piętnaście lat była zawodniczką drużyny olimpijskiej USA. Tym razem ból nie był tak dokuczliwy. „Żadnych złamań. Prawdopodobnie lekkie zwichnięcie jednego nadgarstka” - stwierdziła z zadowoleniem. Poczekała chwilę, a następnie ostrożnie odpięła swój kask i zdjęła go z głowy.

Dotknęła dłonią czoła i skroni. „Małe draśnięcie. Nic poważnego. Mogło być gorzej, gdybym nie miała kasku” - pomyślała.

Bree czuła, że coś ostrego i twardego uwiera ją z tyłu, powodując tępy ból. Nie mogła zobaczyć, cóż to takiego, gdyż siedziała unieruchomiona między rowerami i rozrzuconymi kartonami. Na domiar złego obok leżał nieprzytomny mężczyzna. Dotknęła jego gładkiego, opalonego policzka. Nie zareagował. Kusiło ją, żeby go uszczypnąć lub zrobić cokolwiek, by go obudzić.

Dostrzegła, że nieznajomy krwawi. Musiała sprawdzić, czy rana nie jest poważna, w przeciwnym wypadku należało wezwać pogotowie.

Odgarnęła kosmyk ciemnych włosów z czoła mężczyzny, znalazła czerwony obrzęk i małe rozcięcie.

Postanowiła zatamować upływ krwi.

Bree rozejrzała się w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby posłużyć jako tampon. Spojrzała na jego jedwabną koszulę i krawat. Pewnie nie byłby zadowolony, gdyby porwała jego dobre gatunkowo i drogie ubranie.

Po chwili wahania chwyciła jedyną rzecz, jaką miała w zasięgu ręki. Co prawda, Bree nigdy nie widziała, żeby „ciasteczka szczęścia” kiedykolwiek stosowano jako opatrunek uciskowy, jednakże mimo wszystko przycisnęła jedno z nich do krwawiącego czoła nieznajomego. Mężczyzna poruszył się niespokojnie. Otworzył oczy i spojrzał na nią zaskoczony.

- Straciłeś przytomność na kilka minut - wyjaśniła pośpiesznie. - Nie wyglądasz na ciężko rannego, ale dostrzegłam...

Przerwała w pół zdania, speszona jego badawczym spojrzeniem. Nastąpiło kłopotliwe milczenie.

Sam Leong z zainteresowaniem spoglądał na dziewczynę.

Rozpoznał charakterystyczne rysy Azjatki. Miała piękne, brązowe oczy. Gęste, hebanowe włosy opadały jej na ramiona. Nie mógłby wyobrazić sobie piękniejszej partnerki. Jednakże kobiety z jego marzeń nie miały zwyczaju przykładać do jego czoła dziwnych przedmiotów.

- Powiedz mi, co robisz? - odezwał się.

- Trzymam „ciasteczko szczęścia” - wytłumaczyła spokojnie.

- Oczywiście. Czy jesteś znachorką i wypróbujesz na mnie swoje nowe, niezawodne metody?

- Nie, nie jestem znachorką - odparła chłodno, nieco urażona jego ironicznym pytaniem. - Mieliśmy wypadek i rozbiłaś sobie głowę, więc postanowiłam zatamować krew. Przepraszam, ale nie miałam wyboru, stąd te ciasteczka.

- To wszystko rzeczywiście ma sens - szepnął nieco zbity z tropu. Ta dziewczyna zafascynowała go. Uświadomił sobie, że wciąż trzyma ją w talii. Czerwone atłasowe spodenki podkreślały jej zgrabną sylwetkę. Wydała mu się ucieleśnionym ideałem kobiety.

- Jeśli mogę zadać jeszcze jedno pytanie - powiedział po chwili. - Gdzie jesteśmy?

- Znajdujemy się pomiędzy kartonami ciasteczek, które wcześniej wyładowano z ciężarówki.

Sam rozejrzał się, patrząc wokół niedowierzającym wzrokiem. Rzeczywiście, wokół leżało mnóstwo ciastek.

- Hmm... to tłumaczy, dlaczego nie użyłaś czegoś odpowiedniejszego. Czy to chociaż działa?

Podniosła ciastko i uśmiechnęła się.

- Kiedy się stąd wydostaniemy, oczyszczę ci ranę i nałożę prawdziwy opatrunek.

- Czekoladkę czy wafel waniliowy? - zażartował.

Bree zachichotała rozbawiona. W tym samym momencie dostrzegła powłóczyście spojrzenie Sama. Speszona usiłowała odsunąć się od niego.

- Słuchaj, prowadzę kursy bezpiecznej jazdy dla motocyklistów i rowerzystów, może chciałbyś skorzystać? - rzekła uszczypliwie. Musiała powiedzieć cokolwiek, by nie dopuścić do krępującego milczenia.

Mężczyzna nie zareagował na tę propozycję. Obserwował zażenowaną dziewczynę.

- Ty również odniosłaś obrażenia - zauważył. Dotknął małego zadrapania na skroni Bree. Dziewczyna zabawnie zmarszczyła nos. - Przepraszam, nie chciałem, by zabołało. Potrzebujesz na to skutecznego lekarstwa. - Poinformował z poważną miną i złożył delikatny pocałunek na jej skroni.

Serce dziewczyny zabiło mocniej pod wpływem subtelnej pieśczozy. Doznała przyjemnego uczucia. Mimo wszystko postanowiła przerwać tę dwuznaczną sytuację. Poruszyła się gwałtownie, chcąc wydostać się z pułapki, lecz niestety bezskutecznie. Jedyne poczuła dotkliwy ból, który wywołał grymas na jej twarzy.

- Oj, moje lekarstwo chyba nie działa. Co ci dolega? - zapytał troskliwie.

- Jakiś twardy przedmiot dotkliwie uwiera mnie w plecy - jęknęła. - Czy mógłbyś zobaczyć, cóż to takiego?

- Hmm... - chrząknął. Odsunął karton, żeby sprawdzić, co przeszkadza Bree. Przy okazji stwierdził, iż dziewczyna była dość

szczupła. Przypuszczał, że mierzy pięć stóp i pięć cali. „Ma szczęście, że przeżyła” -pomyślał, przypominając sobie szybkość, z jaką pędził na rowerze. Ogarnęło go uczucie opiekuńczości i... winy.

- To tylko pedał od twego roweru - odparł - Powinnaś przesunąć się nieznacznie w moją stronę.

Spojrzał w oczy Bree i uśmiechnął się, a jego dłoń ponownie spoczęła na talii dziewczyny.

Sam czuł neodpartą pokusę, żeby sięgnąć niżej. Z trudem się powstrzymał.

- Gazela. Odbiór. Gazela, odezwij się. Czy jesteś gotowa przyjąć następne zlecenie? - Głos Karla dobiegał z krótkofalówki przymocowanej do biodra Bree.

Chciała odpowiedzieć na wezwanie, lecz była unieruchomiona na tyle, że nie mogła dosięgnąć przełącznika. Popatrzyła bezradnie na rowerzystę.

- Nie mogę dosięgnąć przycisku na mojej krótkofalówce. Czy mógłbyś go włączyć? - poprosiła.

- Oczywiście - odparł i usłużnie przesunął dłonią po jej biodrze. - Powiedz, czy mam ciepłą dłoń? - zapytał z uśmiechem.

- Nawet bardzo. - Poczowała, że oblewa ją gorący rumieniec.

- Znalazłem.

- Dziękuję - szepnęła. - Tu Gazela - zaczęła mówić do krótkofalówki.

- Miałam wypadek na Jackson. Ze mną wszystko w porządku. Odbiór.

- Czy zrealizowałaś do końca ostatnie zlecenie? -zapytał Karl.

- Nie. Ale niezbędne dokumenty mam w swojej torbie. Zadzwoń do Biura Prawniczego Onnarka i wyjaśnij wszystko. Dostarczę mu te papiery, kiedy tylko dostanę nowy rower. Dzięki, Karl. Koniec.

Sam zmarszczył czoło, kiedy usłyszał nazwisko Onnark. Dwa miesiące temu próbował podpisać z nim umowę o pracę. Niestety, przegrał z firmą, która szybko realizowała wszelkie zlecenia, a przy okazji przywiązywała wagę do bezpieczeństwa jazdy.

Dwaj mężczyźni, prawdopodobnie pracownicy sklepiku, znosili nie uszkodzone kartony na zaplecze. Próbowali wyciągnąć porozrywane kartoniki spod rowerów, a to spowodowało, że ciasteczka rozsypały się jeszcze bardziej.

Robotnicy zaprzestali swoich działań i zaczęli się zastanawiać, jak zapobiec dodatkowym szkodom. Sam podniósł jedno ciasteczko.

- To dla ciebie, Gazelo - powiedział i rozłamał je na pół. Ze środka wyjął małą karteczkę. - Zanim uporządkują to rumowisko, minie trochę czasu. Możemy się tu świetnie zabawić - rzekł ze śmiechem. - Posłuchaj: „Spotkasz przystojnego, ciemnowłosego nieznanego, który skradnie ci serce” - odczytał.

- Skradnie czy złamie? -zapytała wesoło Bree. Poczucie humoru towarzyszyło jej w każdej sytuacji. -Teraz ja wybiorę dla ciebie - postanowiła. Sięgnęła po ciastko, przełamała je i wyciągnęła ze środka mały, niebieski pasek papieru. Przeczytała. - Cóż to ma być! - krzyknęła zaskoczona i wyrzuciła karteczkę.

Starszy Chińczyk elegancko ubrany przedzierał się w ich stronę.

- Zniszczyliście i pomieszaliście dwa ładunki „ciasteczek szczęścia. Ktoś musi za to zapłacić! - Poinformował wzburzony jegomość. - Zostaniecie tutaj, dopóki nie poznamy waszych nazwisk.

Bree zrozumiała zaledwie kilka słów, ponieważ mężczyzna nie najlepiej władał angielskim. Kiedy dystyngowany właściciel wygłaszał swoją tyradę, Sam spojrzął w jego stronę.

- Czy nie słyszałaś co on powiedział? - zapytał konspiracyjnym szeptem. - Wjechaliśmy na dwa ładunki „ciasteczek szczęścia": niektóre zawierały liściki o treści erotycznej, a inne o treści ogólnej. Wszystkie są teraz wymieszane, więc nie można ich już sprzedawać.

- Ciekawe, kto zapłaci za ten bałagan? - westchnęła Bree.

- Ja to załatwię - zapewnił ją Sam.

Starszy mężczyzna zmierzył ich wściekłym wzrokiem, po czym wydał kilka poleceń robotnikom. Dwaj magazynierzy kończyli właśnie rozszczepianie złączonych rowerów, uwalniając tym samym więźniów.

Bree wyciągnęła ze swojej torby apteczkę. Zamierzała opatrzyć czoło Sama.

- Wygląda na to, że nie pierwszy raz uległeś wypadkowi - rzekła, spoglądając na blizny ukryte pod włosami.

- Jestem, jakby to powiedzieć... weteranem - wyznał Sam. - Ale muszę stwierdzić, że tym razem wszelkie urazy zostały mi w pewien sposób wynagrodzone - dodał z tajemniczym uśmiechem. - Czy przyjmujesz moje zaproszenie na jutrzejszy lunch? - zaproponował.

- Dziękuję, ale zwykle nie umawiam się z nieznajomymi.

- Nieznajomymi? - zagadnął, udając zdziwienie. - Leżeliśmy tuż obok siebie niemalże przez dziesięć minut. Większość par pozwala sobie na

takie zbliżenia dopiero na drugiej randce. A my, no cóż... uważam, że jesteśmy już na etapie trzeciej - rzekł żartobliwym tonem.

- Odliczasz, jakbyś planował start rakiety - zauważyła uszczypliwie, rozpakowując maść z antybiotykiem. - Czy w swoim życiu działasz równie szybko, jak jeździsz na rowerze? - spytała cicho, badawczo spoglądając mu w oczy.

„Ta dziewczyna jest pewna siebie, inteligentna i ma poczucie humoru” - pomyślał Sam. Cenił sobie takie wartości. Ta kobieta mogła być idealną partnerką w jego życiu.

- No cóż, to tajemnica - odparł wesoło.

- Myślę, że mógłbyś okazać skruchę i obiecać poprawę na przyszłość. - Udawała obrażoną. Po chwili popatrzyła na bandaż, który wzięła z apteczki i roześmiała się.

- Co cię tak rozbawiło? - zapytał zaskoczony Sam.

- Niestety mam tylko żółty bandaż - wyjaśniła. - Będziesz musiał nosić jasnożółtą opaskę. Opaskę w kolorze szczęścia, jak uważają niektórzy.

Zakładając opatrunek, poczuła nagłą pokusę, by musnąć ustami skroń mężczyzny. Jego pocałunek podziałał na nią cudownie. To dziwne pragnienie szybko minęło. Mężczyzna wstał i podał jej rękę.

Sam spojrzał na nogi dziewczyny. Nie miała wielu siniaków, zadrapań czy blizn, więc z pewnością nie pracowała długo jako goniec. Uważał siebie za eksperta w rozpoznawaniu tych twardych kowbojów. Zatrudniał ich, zwalniał i miał z nimi do czynienia na co dzień przez ostatnie dwa lata. Dlaczego nie zauważył jej wcześniej? San Francisco jest wprawdzie dużym miastem, ale na tę kobietę trudno nie zwrócić uwagi.

Nagle spod marynarki Sama zaczął dochodzić dziwny pisk, a po chwili dało się słyszeć głos kobiety.

- Biuro wzywa Lwie Serce. Odezwij się, Leo.

Z wewnętrznej kieszeni marynarki Sam wyciągnął drogi skórzany futerał, w którym znajdowała się krótkofalówka.

- Tu Leo. Nie mogę sensownie wytłumaczyć całej sytuacji, ale tkwię w Jackson. Jest ulewa, obok mnie leży mnóstwo „ciasteczek szczęścia”, a tak poza tym, miałem zderzenie z Gazelą - wyjaśnił pokrótce.

- C-co? - wykrzyknęła z niedowierzaniem kobieta - Określ swoje położenie - poprosiła nieco zdezorientowana.

- Proszę, zaufaj mi, Felicia - rzekł ze śmiechem. -Zawiadomię cię o moim położeniu za dziesięć minut. Ogranicz przesyłki przeznaczone dla mnie - polecił. Spojrzał w dół na porwaną kieszeń swojej marynarki. -I zadzwoń do Phillipa, mojego krawca - powiedział cicho.

Kiedy Sam rozmawiał, Bree sprawdzała, czy rowery nadają się jeszcze do użytku. Na bicyklu Sama rozpoznała emblemat firmy Silver Rockets.

- Jesteś jednym z nich! Powinnaś się domyśleć! -krzyknęła Bree.

- Nie rozumiem.

- Chodzi mi o tych lekkomyślnych kamikadze, którzy nie przestrzegają żadnych zasad bezpieczeństwa.

Bree zapomniała o swoich posiniaczonych kolanach i zranionej skroni.

- Widziałam dzisiaj już dwa mniejsze wypadki spowodowane przez gońców Silver Rockets!

- Mówisz o najwyżej ocenianych posłańcach w mieście - zauważył Sam. Chciał dalej kontynuować swój wywód, ale podeszła do nich starsza kobieta, właścicielka straganu z upominkami. Zdenerwowana wymachiwała swoją spracowaną ręką i mówiła coś po chińsku. W drugiej dłoni trzymała przezroczysty woreczek, w którym znajdowały się potłuczone gliniane figurki i kilka zniszczonych drobiazgów.

Sam wysłuchał lamentu kobiety, a potem grzecznie przeprosił za wyrządzone szkody. Spojrzał wyczekująco na Bree.

- Czy nie zamierzasz przeprosić? - szepnął.

- Po pierwsze, to ty straciłeś panowanie nad swoim pojazdem i uderzyłeś w stragan, a po drugie, nie znam języka chińskiego. - Odparła wyniośle.

- Ale... - Sam spojrzał zakłopotany.

Bree odwróciła się i zaczęła dokładnie oglądać swój zniszczony rower.

- Jestem pewna, że potrafisz przeprosić za nas oboje. A poza tym trzeba zapłacić za szkody panie... Przepraszam, jak godność?

- Leong. Samson Leong.

Bree zamilkła. A więc stał przed nią Sam Leong - cudowny chłopak, który odkupił zrujnowaną firmę od swego wujka i doprowadził Silver Rockets do rozkwitu. A ona pozwoliła sobie na tak niefrasobliwe zachowanie.

- Więc przypadek sprawił, iż spotkałam samego szefa Silver Rockets - stwierdziła. - To tłumaczy twój przesadnie elegancki ubiór do jazdy na rowerze. - Badawczo spoglądała na Sama.

Bree Jeffries dążyła do tego, by firmy usługowe dbały o swoją reputację i przywiązywały wagę nie tylko do szybkości wykonywanych zleceń, ale również do bezpieczeństwa swoich pracowników. A przede wszystkim powinno się przestrzegać przepisów drogowych, które do tej pory nieustannie łamano. Burmistrz zaakceptował jej pomysł i uczynił ją odpowiedzialną za kampanię na rzecz bezpieczeństwa na drogach. Ale Bree wiedziała już, że główną przeszkodę stojącą na drodze do osiągnięcia celu stanowi właśnie Sam Leong. Jeśli chciała odnieść sukces, za wszelką cenę musiała nakłonić go do współpracy.

Gdyby tylko spotkali się w dogodniejszych okolicznościach!" Ależ tak! - pomyślała. - Przecież właśnie teraz nadarza się świetna okazja. Przyłapałam go na gorącym uczynku! Przecież to on spowodował wypadek na skutek swej nieuwagi i ignorowania zasad bezpiecznej jazdy". Postanowiła porozmawiać z Samem o programie bezpieczeństwa, jednakże jeszcze nie teraz. Musiała najpierw przygotować odpowiedni grunt, by szybko i bezboleśnie przekonać go o swoich racjach.

Sam oglądał dokładnie swój rower. Wymamrotał coś pod nosem, kiedy zobaczył połamane szprychy, wygięte koło i kierownicę. Gdyby nie to, że jego firma cierpiała na brak pracowników, od razu wysłałby tę kupę żelastwa na złom. Ale w tej chwili nie mógł sobie na to pozwolić, miał jeszcze kilka zleceń.

- Nie zdradziłaś mi nazwy swojej firmy - zauważył.
- Softpedalers Incorporated.
- Powinienem się domyślić - mruknął i spojrzał na zgruchotany pojazd Bree. - Twój rower ma charakterystyczne kolory i

nieskomplikowaną konstrukcję. Czy jeździecie na nich do przedszkola? - zapytał złośliwie.

- Te kolory mają pewien cel - spokojnie wyjaśniła Bree. - Nikogo nie kusi, żeby „pożyczać sobie” nasze rowery. Nie musimy ich zabezpieczać przed kradzieżą. A poza tym... - patrzyła na srebrny, nowoczesny rower Sama - jeśli mamy wypadek, co zdarza się bardzo rzadko, ich nieskomplikowana konstrukcja ułatwia wszelkie naprawy.

Słowa Bree rozdrażniły Sama. Przypomniawszy sobie kilka zleceń, które stracił na rzecz Softpedalers. Zastanawiał się, czy rzeczywiście jej firma miała tak świetną siłę roboczą.

Zignorował komentarz dziewczyny, wyciągnął portfel i wyjął kilka kart kredytowych. Mówiąc biegle po chińsku, wręczył jedną z nich właścicielce straganu z upominkami. Drugą kartę otrzymał starszy Chińczyk, który mruczał coś na temat owych „ciasteczek szczęścia”.

Trzecią kartę Sam wręczył Bree, posyłając jej rozbijający uśmiech.

- W tym... wypadku uczestniczyły dwa rowery - zauważył. - Poszkodowani ludzie oczekują rekompensaty. Wspólnymi siłami musimy wynagrodzić im poniesione straty. Może przedyskutujemy ten problem na jutrzejszym lunchu? - zaproponował.

- Nie mam czasu umawiać się z gośćmi konkurencyjnych firm - zakomunikowała. - Nie czuję potrzeby dyskutować z kimkolwiek na temat tego wypadku. Biorąc pod uwagę okropną opinię o twojej firmie i zaistniałe fakty, sędzę, że wiadomo, kto ponosi odpowiedzialność za kolizję - rzekła protekcyjnym tonem.

- Skoro tak uważasz - mrugnął do niej porozumiewawczo - więc przez cały lunch będę cię przeproszał. Przyrzekam, że nie poruszę tematu

tajemnic zawodowych - obiecał. Spojrzał nonszalancko na swoje rozerwane ubranie. Pomimo bolących stawów i mięśni, wsiadł bohatersko na rower.

- W tym stanie nie zamierzasz chyba jechać na rowerze! - zaprotestowała Bree.

- Dlaczego nie?

- Spójrz, jak wygląda twój pojazd! Jazda na nim jest szaleństwem! - perswadowała.

- Jestem wzruszony, że się tak o mnie martwisz.

- Raczej o samochody, które możesz jeszcze zniszczyć - mruknęła ze złością.

- Zobaczymy się jutro w południe, Gazelo - powiedział Sam ze śmiechem. Zadzwoił dwa razy i ruszył w dół ulicy.

Rozdział drugi

Jak zwykle w południe na ulicach San Francisco panował ogromny ruch.

Sam prowadził swój sportowy samochód, z trudem omijając korki i wyprzedzając inne pojazdy. Przyglądał się gońcom na rowerach, zwinnie wymijającym samochody i pieszych. Szukał cyklistów ubranych w koszulki z emblematami firmy, dla której pracowała Bree. W ciągu dziesięciu minut dostrzegł trzech posłańców w charakterystycznych ubraniach Softpedalers. Wszyscy jeździli na bardzo kolorowych rowerach.

Czyżby firma zatrudniająca Bree była większa i silniejsza niż przypuszczał? Po powrocie do biura postanowił poprosić Tony'ego, swojego głównego księgowego, o raport dotyczący ostatnich notowań na rynku. Ciekawe, czy Softpedalers mieściła się w pierwszej dwudziestce firm tego typu w świecie?

Projekty wydatków. Kwartalny podatek. Zyski i straty. W tym momencie nie potrafił skoncentrować uwagi na tematach poruszanych w czasie porannego zebrania.

Nie mógł zapomnieć o wczorajszym incydencie. Doznawał mieszanych uczuć na wspomnienie pięknej, intrygującej dziewczyny. Potrafiła być miła i sympatyczna, ale jej złośliwe uwagi kłuły boleśnie, drażniąc męską ambicję. Sam nie potrafił przestać o niej myśleć.

Była inteligentna, błyskotliwa, piękna i energiczna. Dlaczego zarabiała na życie, dostarczając przesyłki na rowerze? Może w przyszłości mógłby ją zabrać z Softpedalers...

Leong czuł się winny. Przez swoją brawurę naraził tę piękną istotę na niebezpieczeństwo. Miał nadzieję, że dziewczyna przyjdzie na lunch i przyjmie jego przeprosiny.

Sam doszedł do wniosku, iż Gazela jest ryzykantką, która potrafiłaby dzielić z nim miłość do przygód i szybkiego życia. Bo czyż istniało inne racjonalne wytłumaczenie tego, że ryzykowała życie na ulicach San Francisco? Kobieta jej pokroju nie rozwodziłaby się długo nad drobnymi nieporozumieniami. Wiedział, że byłaby dla niego idealną partnerką.

Przed wyjściem na lunch zmienił swój elegancki strój na bardziej swobodny. Założył spodenki, koszulkę polo i sportowe buty. Sądził, iż Gazela będzie ubrana skromnie, więc nie chciał krępować jej swym wyszukany ubiorem.

Zaparkował swój wóz na parkingu przed biurem Softpedalers. Dwaj gońcy w kaskach ochronnych stali na chodniku, trzymając swoje rowery i rozmawiali głośno. Sam spojrzał w ich stronę i stwierdził, że skoro posłańcy mają czas na próżne rozmowy, to nie są w pełni wykorzystywani. Leong posiadał wrodzoną bystrość umysłu, która pozwalała mu szybko ocenić swych konkurentów. Dzięki temu poznawał ich słabości. Od czasu kiedy dwa lata temu kupił firmę, wielokrotnie powiększył jej zyski i obroty. Prawie wszystko zawdzięczał swojej wnikliwej obserwacji i życiowej zaradności.

Sprawdził, która godzina. Była dwunasta piętnaście. Rozejrzał się dookoła, ale nie dostrzegł Gazeli. Postanowił podejść do rozmawiających rowerzystów.

- Czy wiecie, gdzie mogę znaleźć Gazelę? - zapytał obojętnym tonem.

- W biurze - odpowiedzieli szybko i z uniżeniem.

Sam zauważył, jak mu się wydawało, ich kpiące spojrzenia.

„Ciekawe, co oni sobie wyobrażają - pomyślał. - A może jeden z nich to jej bliski przyjaciel”. Ta myśl trochę go zaniepokoiła.

Sekretarka z uśmiechem wysłuchała jego prośby.

- Połączę pana z Bree Jeffries, właścicielką naszej firmy — rzekła uprzejmie.

- Dziękuję, ale wątpię, żeby to było konieczne -zaprotestował, lecz sekretarka oddała mu słuchawkę.

- Bree Jeffries. W czym mogę panu pomóc? - odezwał się kobiecy głos.

- Mówi Sam Leong z Silver Rockets. Jestem u pani w sekretariacie. Próbuję znaleźć jedną z pracownic tej firmy. Wczoraj w Jackson miałem z nią drobną kolizję.

- Tak, wiem o tym wypadku, panie Leong - odparła Bree z uśmiechem i usiadła wygodnie w swoim fotelu. Już od rana oczekiwała przyjazdu Sama. - Mam nadzieję, że nic się panu nie stało - mówiła z wyszukaną uprzejmością. - Nie miał pan hełmu, prawda?

- Ze mną wszystko w porządku - odparł Sam. -Mam tylko kilka siniaków.

- Cieszę się, że nie odniósł pan poważnych obrażeń. Mam nadzieję, że nasza rowerzystka nie była dla pana niegrzeczna. - Bree z satysfakcją prowadziła tę małą grę. Bawiło ją to, gdyż miała pewność, że Sam nie ma pojęcia, z kim rozmawia.

- Niegrzeczna? - powtórzył. - Nie, nie. Chciałbym ją zobaczyć, ponieważ to ja pragnę ją przeprosić. Biorę na siebie całą odpowiedzialność

za wypadek. Proszę posłuchać, nie chciałbym marnować pani cennego czasu. Czy pani sekretarka lub któryś z gońców mógłby ją znaleźć? Wygląda raczej niezwykle, więc sądzę, że bez problemu potrafię ją opisać...

- Proszę opisać tę kobietę i rower, na którym jechała. - Zachęcała, nie mogąc zapanować nad ciekawością.

Sam bezradnie popatrzył dookoła w nadziei, że ujrzy Gazelę. Nie przewidział, że jej szefowa będzie tak dociekliwa.

- No cóż - westchnął - jechała na różnokolorowym rowerze... Miała długie, ciemne jak heban włosy, piękne oczy i zgrabny tyłeczek. - Te słowa zabrzmiały, zanim zdążył się opanować. - Czy ja naprawdę to powiedziałem? To znaczy, miałem na myśli coś innego... - wyszeptał i pomyślał - „Och, to też nie zabrzmiało dobrze”.

- Panie Leong! - zawołała Bree.

Zgrabny tyłeczek, rzeczywiście! Jak on śmie opisywać ją ze szczegółami... dosłownie! Zaczerwieniła się lekko.

Uświadomiła sobie, że przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny wspominała ich spotkanie i w marzeniach pieściła jego muskularne ciało. Miała jednak na tyle przyzwoitości, by zachować to w tajemnicy.

- Wiem, że zabrzmiało to niegrzecznie, ale nie to chciałem powiedzieć... Po prostu przez dziesięć minut leżałem bardzo blisko tej kobiety, niemalże w jej objęciach. A ona miała na sobie... coś, co podkreślało jej kształty... Do tego padał deszcz i to wszystko... Pani rozumie. - Nastąpiło kłopotliwe milczenie. - Pani Jeffries - odezwał się po chwili - chcę tylko znać prawdziwe nazwisko tej kobiety. Pragnę zaprosić ją na lunch i przeprosić za całe zajście.

- Panie Leong - rzekła Bree, podnosząc aparat z biurka. Podeszła do drzwi i otworzyła je cicho. Dostrzegła Sama, stał odwrócony do niej plecami. - To były moje włosy, moje oczy, mój brzydki rower i mój...

- Ty jesteś Gazelą? - wyszeptał Sam. - Myślałem, że...

- Sądzę, że nie ma znaczenia, co pan myślał- rzekła chłodno.

- Nie, oczywiście, że nie. Masz rację - zgodził się Sam. - Ale jechałaś na rowerze. To jest trochę niezwykle w przypadku właścicielki...

- Jeśli sobie dobrze przypominam, ty również kierowałaś podobnym pojazdem - zauważyła.

- Słusznie - potwierdził. - Czy pójdziesz ze mną na lunch, który zaplanowałem? Chciałbym cię przeprosić... A tak przy okazji - Sam próbował ratować swą godność - dzwoniłem do właścicieli, którzy z naszej winy ponieśli wczoraj stratę. Omówiłem z nimi warunki rekompensaty...

- Rosemary, idę na lunch z panem Leongiem -przerwała mu Bree, zwracając się do sekretarki.

Sam zorientował się, że ten głos nie dochodził już ze słuchawki, lecz zza jego pleców. Odwrócił się i zobaczył Gazelę. Popatrzyła na niego rozbawiona i wręczyła sekretarce aparat telefoniczny, który do tej pory trzymała w dłoni.

Zaskoczony mężczyzna badawczo obserwował Bree. Dziewczyna nosiła buty na wysokich obcasach. W szytym na miarę kremowym kostiumie i różowej bluzce wyglądała jak prawdziwa kobieta interesu. Wydała mu się szalenie podniecająca. Leong odłożył słuchawkę i wyciągnął dłoń w jej stronę.

- Bree Jeffries? - wymówił jej nazwisko głosem pełnym szacunku.

- Samson, jak sądzę - powiedziała z uśmiechem. Widziała, jak mężczyzna taksuje ją wzrokiem. Z pewnością zaskoczyło go jej wystudiowane, urzędowe ubranie, tak różne od tego, które miała wczoraj... Próbowała odgadnąć, co on teraz myśli i co o niej sądzi.

Spojrzała na niego z zainteresowaniem. Był wysoki, dobrze zbudowany i opalony. Miał muskularne uda i łydki, co z pewnością zawdzięczał jeździe na rowerze. Był ubrany w czerwone szorty i białą koszulkę polo, która znakomicie uwydatniała jego umięśnione ramiona. Na bose stopy założył sportowe obuwie.

„O rety, nawet jego kostki są podniecające” - pomyślała Bree.

Postanowiła przerwać panującą ciszę.

- Prawdopodobnie nie czujesz się dobrze na terytorium wroga - zasugerowała. - Może chodźmy wreszcie na ten lunch?

- Proszę bardzo - odparł uprzejmie.

Kiedy przechodzili przez biuro, Bree przystanęła przed tablicą pamiątkową wiszącą na ścianie. Wyciągnęła z kieszeni chusteczkę i przetarła ramkę. Zaintrygowany Sam przeczytał treść oprawionego listu pochwalnego.

- Wygrałaś nagrodę burmistrza w konkursie na bezpieczną jazdę na drogach! - stwierdził głośno. - Co za zaszczyt. Sądzę, że to bardzo ułatwi twojej firmie...

- Czy to nie ty proponowałeś, by nie rozmawiać o tajemnicach zawodowych? - przypomniała Bree. Spędziła bezsenną noc, rozmyślając, czy przyjąć zaproszenie Sama na lunch. W końcu postanowiła skorzystać z propozycji. Miała ku temu dwa powody. Potrzebowała poparcia Leonga w kampanii na rzecz bezpieczeństwa. Jego firma wciąż należała do najlepiej

ocenianych w mieście. "Jeżeli Sam zaakceptowałby mój plan i przekonałby innych właścicieli większych firm o słuszności moich dążeń, z pewnością kampania odniosłaby sukces" - wydedukowała Bree. Podczas lunchu zamierzała poruszyć ten temat.

Druga przyczyna, która wpłynęła na jej decyzję, była bardziej osobista. Bree nie potrafiła znaleźć określenia na to, co czuła. Do tej pory nie zdarzyło jej się, by fascynował ją mężczyzna, którego prawie nie знаła.

- Masz rację - odparł właściciel Silver Rockets i pchnął drzwi wyjściowe. - Obiecałem unikać pewnych tematów i postaram się dotrzymać słowa.

Skierowali się na parking. Sam podszedł do swojego wozu i otworzył drzwi.

- Jeżeli zaczniemy rozmawiać o interesach, to poświęcimy im najwyżej pięć, dziesięć minut.

- To świetny pomysł. W pełni go akceptuję - odparła z uśmiechem, spoglądając w jego stronę. Zastanawiała się, czy oboje będą zachowywali się tak, jak gdyby nic się nie wydarzyło wczoraj między nimi.

Przypomniała sobie, jak otarł się o nią, kiedy przechodziła obok. Była pewna, że zrobił to świadomie. Poza tym przyglądał jej się przez cały czas. Bree czuła się zniewolona jego bliskością.

„To śmieszne - myślała, kiedy rozmawiali zdawkowo. - Całe życie przebywałam wśród mężczyzn. Trenowałam z nimi, pracowałam, zatrudniałam ich, kochałam... lub też wydawało mi się, że kochałam. Nieważne. Dlaczego Sam Leong sprawił, że czuję się zakłopotana w jego towarzystwie?"

Bree miała zawsze dużo przyjaciół. Podczas długich tras rowerowych trenerzy i ich podopieczni stanowili niemalże rodzinę. Wiedziała, że może na nich liczyć. Potrafili ją pocieszyć w trudnych sytuacjach nawet wtedy, gdy zerwała z Gregiem.

Greg. Nikt, nawet Gregory Gionatti nie fascynował jej tak jak ten mężczyzna, którego знаła zaledwie kilkanaście godzin. To było zastanawiające.

Sam spojrzął w lusterko, przekręcił kluczyk w stacyjce i ruszył.

Kiedy Sam wspomniał o lunchu nad zatoką, nie potraktowała tego poważnie. Tymczasem nim się spostrzegła, znaleźli się w motorowej łodzi Leonga. Przez trzydzieści minut płynęli z zawrotną szybkością. Bree drżała ze strachu, miała spękane usta i potargane włosy. Próbowwała protestować, ale jej słowa zagłuszał warkot silnika. Wreszcie Sam nieco zwolnił, co umożliwiło jakąkolwiek rozmowę.

- Co powiesz o pikniku w tym miejscu? - krzyknął do niej.

Skinęła głową na znak zgody. Potem zbliżyła się do niego tak, żeby mógł ją słyszeć.

- Doskonale. Ani żywej duszy w pobliżu - wrzasnęła.

Sam wyłączył silnik i poszedł na rufę po koszyk z prowiantem. Bree zazdrościła mu jego sportowego stroju i szczerze żałowała, że sama nie założyła czegoś bardziej stosownego na tę okazję.

- Możesz już odpiąć pasy - powiedział Leong ze śmiechem. - Jest już bezpiecznie. Zdejmij także ten kapok. Sądzę, że podczas jedzenia kamizelka ratunkowa nie będzie ci potrzebna.

Szybkim, zręcznym ruchem pomógł jej odpiąć pasek jaskrawego kapoka.

Od momentu kiedy przyjechali na przystań, Bree próbowała docenić pomysłowość Sama. Z pewnością lunch na wodzie miał wiele uroku, lecz dziewczyna nie była przygotowana na tak zaskakującą eskapadę. Z tego też powodu czuła się dość nieswojo.

Podróż do przystani również nie należała do przyjemności. Leong prowadził samochód niczym szalenciec, ignorując wszelkie ograniczenia szybkości. Dziewczyna zdjęła kamizelkę, nie mogła opanować drżenia rąk.

- Bree, czy dobrze się czujesz? - zapytał Sam.

- Czuję się ś-świetnie - wykrztusiła, usiłując zachować równowagę.

- Nie przypuszczałem, że cierpisz na chorobę morską...

- To przez tę nadmierną prędkość - mruknęła. -Gdzie nauczyłeś się tak jeździć?!

- Nauczyła mnie tego moja eks-przyjaciółka, kiedy miałem piętnaście lat - wyjaśnił ze śmiechem.

- Musiała być...

- Bardzo doświadczona - dokończył zdanie. - Miała osiemnaście lat i była również moją instruktorką jazdy na nartach.

- W górę czy w dół na przełaj? - zapytała uszczypliwie.

- Chodzi ci o jazdę na nartach czy też może o pływanie łodzią motorową? - zagadnął z kpiącym uśmieszkiem.

Bree nie podjęła rozmowy. Chciała jeszcze dodać coś na temat inicjacji na tylnych siedzeniach pojazdów, ale powstrzymała swój zjadliwy komentarz.

Spojrzała na zastawiony obrus. Zaskoczyła ją ilość i różnorodność znajdujących się tam przysmaków.

- Naprawdę przeszedłeś samego siebie - pochwaliła. - Wszystko wygląda wyśmienicie.

- Proszę, usiądź obok mnie i zrelaksuj się. Wyglądasz, jakbyś była... spięta. - Wskazał jej poduszkę.

- Och nie, wszystko w porządku. - Bree usiadła, odsłaniając długie, zgrabne nogi. - Nie przypuszczałam, że zjemy lunch na łodzi... - rzekła półgłosem. - Jak to możliwe, iż żywiąc takie zamiłowanie do zawrotnych szybkości, zniżyłeś się wczoraj do jazdy na rowerze?

- Miałem ku temu powody - wyjaśnił. - Moja firma ma zbyt mało pracowników. Więc żeby nie stracić klientów, wsiadłem na rower i osobiście dostarczyłem kilka przesyłek.

Sam obserwował Bree Jeffries. Kolejny raz zachwyciła go jej uroda. Oprócz tego że należała do piękności, posiadała jakąś tajemniczą siłę i pewność siebie. Była też bardzo zmysłowa.

- Teraz twoja kolej - odezwał się po chwili. - Wytłumacz mi, dlaczego wczoraj rozwoziłaś przesyłki?

Czekając na odpowiedź, otworzył butelkę szampana.

- Jeden dzień w tygodniu jeżdżę wraz z moją załogą - odpowiedziała cicho. - Do wczoraj była to skrzętnie skrywana tajemnica.

Sam podał jej kieliszek.

- Obiecuję, że nikomu nie powiem - szepnął cicho, sącząc swojego szampana. - W jaki dzień tygodnia jeździsz? - zapytał po chwili.

- Wsiadam na rower, kiedy mam na to ochotę. Ale dlaczego pytasz?

- Pomyślałem sobie, że mógłbym stać na rogu ulicy i czekać na ciebie... - wyznał z uśmiechem.

- Sam! - wykrzyknęła.

- Jesteś bardzo atrakcyjną kobietą - kontynuował.

Bree poczuła się zakłopotana. Nie lubiła takich komplementów.

- Czy mogę być z tobą szczerą choć przez minutę?

- zapytała z wahaniem.

- Oczywiście - skinął głową. - O co chodzi?

- Chciałabym, abyś wiedział, że nie robią na mnie wrażenia szybkie samochody czy łodzie motorowe...

- To nie jest łódź motorowa - przerwał nieco urażony.

Skończył pić swojego szampana i sięgnął po butelkę.

- Sądzę, że to doskonały model - stwierdziła Bree - ale jest mi obojętne, czy posiadasz łódź, czy też czółno. Robi to na mnie dokładnie takie samo wrażenie. Już bardzo dawno temu odkryłam pewną zasadę. Przekonałam się, że czym skromniejsza oprawa, tym wartościowszy człowiek. Dla mnie najistotniejsza jest osobowość, bo tylko ludzie o bogatym wnętrzu potrafią być prawdziwymi, serdecznymi przyjaciółmi. Czy rozumiesz, co mam na myśli?

Napełnił swój kieliszek.

- Tak, chyba wiem, o co ci chodzi. - odparł z uśmiechem.

- Sam, chce ci jeszcze coś powiedzieć. Przyjmij do wiadomości, że nie działają na mnie pochlebstwa i tanie komplementy... - dodała Bree.

- Czyżby? - odparł z niedowierzaniem. Podał jej kanapkę z krabem i delikatnie pogłaskał Bree po włosach. - W porządku. Nic, co dotychczas robiłem, nie wywarło na tobie wrażenia. Nie zamierzam jednak sprzedać samochodu czy łodzi, żeby cię zadowolić. Będę nadal starał się o twoje względy. Zdradź mi tylko, w jaki sposób zdołałbym cię zauroczyć i zdobyć? - zapytał, patrząc jej w oczy.

Tuż obok przepłynęła motorówka, wytwarzając sporą falę. Łódź zakołysała się gwałtownie. Bree straciła równowagę, upuściła kieliszek i niespodziewanie wpadła w ramiona Sama. Mężczyzna spojrzał na nią pożądliwie.

- Nie musisz już nic mówić - szepnął czule. - Znam już odpowiedź. - Delikatnie pocałował ją w policzek. - Gazelo, jesteś tak samo impulsywna jak ja. Lubię takie kobiety.

Bree zamierzała zaproponować, lecz mężczyzna zamknął jej usta gorącym pocałunkiem. Jego wargi subtelnie i podniecająco pieściły karminowe usta dziewczyny. Bree poczuła oszłamiający zawrót głowy i emocjonujący dreszcz rozkoszy. Dziewczyna nie miała pewności, czy faktycznie działa na nią czar i urok Sama, czy tylko jej bujna wyobraźnia wywołała tak niepokojące odczucia. Niejako wbrew własnej woli przerwała pocałunek.

- Sam - wykrztusiła, nabierając powietrza. - Sądziłam, że w czasie lunchu zamierzasz przeprosić mnie za wczorajszy wypadek.

- Czy tylko po to tu przyjechałaś? - zapytał miękko i przyciągnął ją bliżej. Ton jego głosu i spojrzenie zaniepokoiły i speszyły Bree. Ponownie próbowała odsunąć się i usiąść. Wreszcie wyswobodziła się z jego objęć. Usiadła sztywno i z niezadowoloną miną spoglądała w stronę mężczyzny. Sam domyślił się, że popełnił błąd, działał zbyt szybko.

- Tak mi bardzo, bardzo przykro z powodu wczorajszego wypadku - powiedział ze skrucą. Złapał ją za rękę. - Uwierz mi, że mówię szczerze. Czy zechcesz przyjąć moje przeprosiny? - zapytał niemal błagalnie.

- Tak - odparła po chwili, uśmiechając się ironicznie. - Tym bardziej, że zgodziłeś się zapłacić za wszystkie szkody - dodała z satysfakcją.

Zaskoczyła go ta drobna złośliwość, jednakże postanowił nie reagować i obrócić wszystko w żart.

- Skoro obiecałem, że pokryję wszystkie koszty, to dotrzymam słowa. Oczywiście również wymienię twój rower. Wiem, że małe firmy, takie jak twoja, nie mogą sobie pozwolić na stratę chociażby jednego rumaka...

- Małe firmy? - rzekła oburzona. Wstała i zaczęła nerwowo spacerować po pokładzie. - Czy ty w ogóle interesujesz się notowaniami na rynku? - zapytała chłodno.

- Wiem, że jestem pierwszy na liście - odparł spokojnie.

- Radzę uaktualnić swoje informacje, panie Leong - powiedziała wyniośle.

- Tak, ostatnio rzeczywiście przestałem kontrolować sytuację na rynku. Ale jeszcze dzisiaj naprawię swój błąd - obiecał. - Czy zechcesz spotkać się ze mną jutro wieczorem, by omówić dokładnie tę kwestię?

Bree osłupiała. Najpierw ją obraża, a potem ma czelność zapraszać na kolejną randkę. Tego było za wiele!

- Sam, czy nie uważasz, że żyjesz zbyt intensywnie? Szybkie samochody. Szybkie rozmowy. Szybkie łodzie. Szybkie posunięcia...

- Więc daj mi kolejną szansę - przerwał. Ujął ją za rękę. - Usiądź i skończ swój lunch - poprosił. - Przecież wiesz, że niebezpiecznie jest stad na łodzi.

- W porządku - wymamrotała, siadając na swoim miejscu. - Chyba musimy już wracać - przypomniała.

- Tak, oczywiście - zgodził się - A co z jutrzejszą kolacją? - zagadnął, przechodząc na dziób łodzi.

Bree zamyśliła się. Do tej pory nie miała okazji wspomnieć o kampanii na rzecz bezpieczeństwa na drogach. Potrzebowała czasu, by znaleźć sposób, w jaki mogłaby przekonać Sama. Teraz gdy poznała go bliżej, wiedziała, że nie będzie to łatwe.

Jeżeli chciała osiągnąć swój cel, musiała działać rozmyślnie i taktownie.

Towarzystwo tego mężczyzny odpowiadało jej bardzo, pociągał ją i absorbował jej uwagę, jednakże czuła, iż póki nie będzie miała gotowego planu działania, nie powinna spotykać się z nim sam na sam. Zbyt łatwo ulegała jego urokowi, a to mogło okazać się zgubne w skutkach.

- Kolacja to brzmi świetnie, Sam - odpowiedziała po chwili. - Ale, niestety, w tym tygodniu swój wolny czas zarezerwowałam na spotkanie w gronie moich dobrych przyjaciół. Jednakże w sobotę organizuję małe przyjęcie w domu. Zaprosiłam już kilka osób. Może zechcesz do nas dołączyć?

Sam nie miał ochoty spotykać się z Bree i jej znajomymi. Chciał być tylko z nią.

- Dobrze. Możesz na mnie liczyć - powiedział, próbując ukryć swoje rozczarowanie, i uruchomił silnik. Łódź zatoczyła duże koło i popłynęli w stronę nabrzeża.

Rozdział trzeci

Następnego ranka, gdy tylko Sam usiadł przy swoim biurku, do jego gabinetu wszedł mężczyzna w średnim wieku.

- Mam teraz wykaz, o który prosiłeś - rzekł na powitanie. - Oto notowania sprzed sześciu tygodni - poinformował. - Nie wszystkie pozycje zostały tu uwzględnione, brałem pod uwagę jedynie najpopularniejsze firmy w mieście.

- Dziękuję, Tony. Chciałbym tylko zobaczyć, na którym jesteśmy miejscu - odparł Sam, odbierając od swojego księgowego wydruk komputerowy. Rozłożył dokumenty na stole konferencyjnym i zaczął uważnie analizować widniejące na papierze kolumny cyfr.

- Według tego wykazu wciąż jesteśmy na pierwszym miejscu, prawda? - zapytał po kilku minutach.

- Tak, ponieważ zatrudniamy najwięcej rowerowych i samochodowych posłańców. No i oczywiście posiadamy niektóre z najbardziej prestiżowych umów w mieście - wyjaśnił Tony.

- Dlaczego to nie brzmi tak przekonująco jak kiedyś? - zapytał Sam.

Tony zmarszczył brwi. Wskazał na jedną z pozycji znajdujących się na początku długiej listy.

- No cóż, firma Softpedalers Incorporated zaczyna prowadzić z nami ostre współzawodnictwo. W ciągu ostatnich sześciu miesięcy sprzątnęli nam sprzed nosa kilka najlepszych zleceń, w efekcie czego znaleźli się na drugiej pozycji, tuż za Silver Rockets...

- Na drugim? - powtórzył Sam z niedowierzaniem.

- Jak to możliwe? Czy widziałeś te potworne rowery, na których jeżdżą gońcy? Albo ich ubrania...

- Nie jestem tutaj po to, żeby wydawać opinie, która z firm najlepiej ubiera swych pracowników - odparł ze śmiechem Tony. - Jeżeli w dalszym ciągu będą nam zgarniali najlepsze zlecenia... - dodał po chwili. Popatrzył na notowania z lutego, potem zapisał coś w swoim notatniku.

- Tak? - zapytał Sam wyraźnie zaniepokojony.

- Przypuszczam, że prześcigną Silver Rockets pod koniec trzeciego kwartału - stwierdził Tony. Powiedział to takim tonem, jakby był zadowolony, że może przewidzieć katastrofę.

- Dlaczego nie zauważyłeś tego sześć miesięcy temu? - krzyknął poirytowany Sam.

- Ponieważ wtedy nie stanowili takiego zagrożenia - wyjaśnił niezbyt przekonywująco.

- A czego oczekiwałeś? - Sam wstał z fotela i podszedł do swojego księgowego. - To należy do twoich obowiązków, Tony. Przewidywać... i ostrzegać mnie o takich małych niespodziankach jak ta - rzekł dobitnie.

- Tak, ale oni nie osiągnęli takich zysków jeszcze w zeszłym kwartale - lamentował Tony.

- Nie mogę w to uwierzyć - westchnął Sam i pochylił się nad wydrukiem. Zaczął ponownie analizować kolumny cyfr. - Bree z pewnością pomyślała, że jestem głupcem. Żyłem w nieświadomości i chełpiłem się pierwszym miejscem zajmowanym przez Silver Rockets. Beztrosko piłem szampana i byłem zadowolony z siebie. Tymczasem ona dokładnie znała fakty i wiedziała, że w rzeczywistości przyszłość mojej firmy nie wygląda tak kolorowo, jak ja sądziłem.

- O czym ty mówisz? - zapytał zaskoczony Tony.

- O konkurencji - wyjaśnił Sam, spoglądając na księgowego. -
Pracują... cicho. Żadnej pretensjonalności.

- No cóż, musimy bardziej uważać na Softpedalers Incorporated -
westchnął Tony, zaznaczając coś w komputerowym wydruku.

Przez chwilę Sam obserwował księgowego w milczeniu, potem nerwowo zaczął chodzić po pokoju. Uświadomił sobie nieciekawą sytuację, w jakiej się znalazła Silver Rockets.

- Powinniśmy to wszystko przewidzieć - rzekł po kilku sekundach. Z niezadowoleniem spojrzał na mężczyznę, który przyniósł mu te niepokojące nowiny. -Nie informowałeś mnie, Tony - dodał z wyrzutem. Bał się, że traci władzę nad swoim przedsiębiorstwem. -To, żeby utrzymać się na pierwszym miejscu, jest dla mnie zasadniczą sprawą - powiedział z naciskiem.

Księgowy znacząco popatrzył na Sama.

- Regularnie kładłem sprawozdania na twoim biurku. Na każde zebranie przynosiłem raporty o stratach i zyskach. Sam, gdyby nie to, iż przez połowę mego życia pracowałem dla twojego wujka i to, że znam cię od dawna, miałbym powody, żeby się na ciebie zdenerwować. Ale wiem, że interesy i powodzenie firmy stoją na pierwszym miejscu. Jednakże gdybyś bardziej zabiegał o swoją reputację przedsiębiorcy, a nie playboya...

Sam wziął głęboki oddech.

- Może odłóżmy dyskusję na ten temat. Proszę, Tony, nie mam nastroju, by słuchać jednego z twoich kazań. Teraz najistotniejsze są notowania na rynku.

Sam wiedział, że byłby to długi wykład. Dłuższy niż mógłby znieść w tym momencie. Tony O'Brien był niemal członkiem rodziny. Patrzył, jak rośnie drugie pokolenie Leongów. To właśnie on poradził Samowi, żeby kupił firmę. Tony ożenił się z kuzynką Leonga i nawet nauczył się mówić dialektem kantońskim.

- Tony, przepraszam za przykrą uwagę. Robisz naprawdę wspaniałą robotę. Po prostu mnie poniosło - rzekł łagodnie i po przyjacielsku położył dłoń na ramieniu księgowego. - Martwię się o przyszłość Silver Rockets. Jedna trzecia rodziny jest zależna od zysków tej firmy. Ciotki, wujkowie, kuzynki, bratankowie i bratanice. Nie mogę ich opuścić - dodał na swoje usprawiedliwienie.

Sam sięgnął po filiżankę kawy, która stała na biurku. Wypił łyk aromatycznego płynu.

- Oczywiście, nie chcę, by wiedzieli, że taka parweniuszka jak Bree może nam zagrozić. W metodach i sposobie jej działania jest coś fałszywego, nieuczciwego. Zgadzasz się ze mną? - zapytał, ściszej głośnie do konspiracyjnego szeptu.

- Sam, sądzę, że nie masz racji i niesłusznie ją oskarżasz - rzekł stanowczo Tony, zbierając dokumenty, które przyniósł. - Pani Jeffries prowadzi interesy uczciwie. Jej firma jest młoda, ale ma silną załogę. A poza tym, Softpedalers posiada silny atut. Mianowicie program dotyczący bezpieczeństwa.

- Ale nasza siła robocza jest... - Sam zawahał się. Jego załoga w większości składała się z członków rodziny, którzy wierzyli, że są bezpieczni na swoich stanowiskach. Nie mógł nikogo zwolnić czy też zdegradować, nie zrobiłoby to dobrego wrażenia wśród pracowników.

- Może zaczniemy od obniżki płac - zasugerował Leong.

- No cóż, to zawsze możesz uczynić. Ale jeśli nie zrobisz czegoś w sprawie bezpieczniejszej i bezkolizyjnej jazdy i nie zaradzisz kradzieżom naszych rowerów, będzie za późno - rzekł Tony i ruszył w stronę drzwi.

- A dziś rano byłem w świetnym nastroju. - Ciężko westchnął Sam, siadając na rogu stołu konferencyjnego.

Przypomniawszy sobie swój sen, który miał dzisiejszej nocy. Śnił o Bree, o tym że pływali jego łodzią po zatoce. Jedli wspaniały lunch, który zakończył się zupełnie inaczej niż ten w rzeczywistości. Oczywiście, bardziej romantycznie. A teraz dowiedział się, że ta wspaniała, piękna dziewczyna zagraża jego firmie. Z tego powodu odczuwał wściekłość i rozżalenie na cały świat i samego siebie.

- Sam, ja tylko próbuję cię ostrzec - powiedział Tony. - Softpedalers jest godnym uwagi konkurentem. Uważaj, bo nim się spostrzeżesz, ta firma zepchnie cię z piedestału, na którym stoisz od dwóch lat.

Bree niespokojnie spoglądała na zegarek, czyniąc przygotowania do przyjęcia. Nie było co prawda późno, ale oczekiwała, że Sam przyjdzie wcześniej. Dziewczyna myślała o nim od samego ranka. Bree zastanawiała się, czy Sam zaakceptuje jej przyjaciół i znajomych, czy dobrze będzie się czuł w ich towarzystwie. Pragnęła, by nawiązał z nimi przyjacielskie kontakty, by ich polubił.

Stała, wyglądając przez okno, pogrążona w swoich rozmyślaniach. Nagle czyjeś ręce pochwyciły ją za ramiona. Odwróciła się i ujrzała swego dobrego przyjaciela.

- Paul, najlepsze życzenia urodzinowe - rzekła na powitanie i uścisnęła brodatego prawnika, którego знаła jeszcze z czasów, gdy

chodziła do college'u. -Dzisiaj wieczorem jesteś gościem honorowym -
oznajmiła. - Czego chcesz się napić?

Paul nie zdążył odpowiedzieć, ponieważ znajomi zaczęli składać mu
życzenia. Bree z uśmiechem przeszła do drugiego pokoju. Często pełniła
rolę gospodyni na przyjęciach urodzinowych organizowanych dla
większości swych przyjaciół. Między innymi dlatego kupiła ten stary,
wielki wiktoriański dom na Haight-Ashbury.

Wynajmowała mieszkanie na dole, zaś pierwsze piętro zostawiła dla
siebie. Kazała wyburzyć ścianę między pokojem a kuchnią, żeby uzyskać
jedno wielkie pomieszczenie, gdyż uwielbiała wydawać przyjęcia.
Zapraszała do siebie ludzi różnych narodowości,którzy przygotowywali
wymyślne dania, potem wspólnie je zjadano.

Po raz kolejny zadźwięczał dzwonek u drzwi. Ktoś pośpieszył, by
przyjąć nowych gości.

Bree tym razem nie zwróciła uwagi na nowo przybyłych, gdyż w
swej małej oranżerii zauważyła usychającą roślinę. Napełniła szklanke
wodą, by podlać spragnione drzewko.

- Mam nadzieję, że ta ciecz w szklance to woda. -Usłyszała znajomy
głos. - Nie ma nic bardziej odrażającego niż pijana Helxine soleirolli.

Zaskoczona Bree odwróciła się i zobaczyła Sama Leonga. W jednej
dłoni trzymał butelkę wina, a w drugiej bukiet żółtych róż. Miał na sobie
sportowy płaszcz i ciemnoniebieską koszulę. Wyglądał elegancko. Był
bardzo męski.

- Czy sądzisz, że chcę ją upić? - powiedziała ze śmiechem. -
Helxine... Jak ją nazwałeś? - zapytała, kończąc podlewanie rośliny w

donicze. - Zawsze myślałam, że to drzewko nazywa się po prostu „łzami dziecka”.

- Tak rzeczywiście jest - powiedział Sam i wręczył Bree róże.

- Dziękuję za kwiaty - powiedziała z ujmującym uśmiechem. - Posługujesz się łaciną niczym specjalista. Czyżby osiemnastoletnia instruktorka narciarstwa, która nauczyła cię prowadzić samochód, była również specjalistką botaniki? - zażartowała.

- Przepraszam. Nie zamierzałem się popisywać. Mój ojciec pracował w szkółce. - Wyjaśnił pokornym głosem. Rozejrzał się wokoło. - Bardzo ładne mieszkanie - rzekł z uznaniem. - Przytulne, świetnie urządzone. Ten dom przepelniony jest życiem i radością, podobnie zresztą jak jego właścicielka.

Sam przyjaźnie spojrzał na Bree. Żałował, że nie są tu sami. Przyjechał do niej rozdrażniony, gdyż myśl, że firma dziewczyny stanowi znaczącą konkurencję dla Silver Rockets bardzo go niepokoiła.

Kiedy wszedł do zatłoczonego pokoju, zaczął obawiać się, że niezdrowe emocje powrócą. Ale gdy zobaczył Bree, ubraną w białe spodnie i bluzkę w kolorze nefrytu, tak zaabsorbowaną podlewaniem rośliny, odezwały się w nim jedynie żądze.

Bree przedstawiła go swym przyjaciołom, następnie przeprosiła i poszła doglądać pracy w kuchni.

Rozbawieni goście siedzieli w jadalni, zajadając ze smakiem egzotyczne potrawy, a Bree z zainteresowaniem obserwowała Sama, który z łatwością nawiązywał kontakty z jej przyjaciółmi. Prowadził z nimi ożywioną rozmowę, co ucieszyło gospodynię przyjęcia. „Szybko - pomyślała. - Nawet przyjaciel znajduje sobie szybko”. W pewnym

momencie Bree dostrzegła znaczące spojrzenie Sama, które wyrażało pożądanie, czułość i tęsknotę. Niespodziewanie zapragnęła, żeby pokój opustoszał, by pozostać tylko z Samem Leongiem.

Bree ponownie przejęła rolę gospodyni. Podała kawę, a następnie poczęstowała gości tortem urodzinowym. Kiedy wreszcie wypełniła swe obowiązki, zaczęła się rozglądać w poszukiwaniu Sama. Niestety, nigdzie go nie dojrzała. Pomyślała, że nie mówiąc nic nikomu, opuścił mieszkanie. Nagle usłyszała charakterystyczny śmiech dochodzący z kuchni. Spojrzała w tamtą stronę i zobaczyła Leonga siedzącego na podłodze. Rozmawiał z sześciolatkiem Michele, synem jej współpracowników. Sam wlewał wodę sodową do słoika z majonezem i zachęcał chłopca, żeby wrzucił tam coś, co przypominało rodzynki.

- Zobacz. Dwutlenek węgla, który jest w sodzie wynosi rodzynki na powierzchnię - wyjaśnił Sam ożywionym głosem. - Ale kiedy bąble pękają, rodzynki opadają na dno słoika.

Bree z ukrycia obserwowała ten swoisty wykład naukowy. Była zafascynowana. Rodzynki najpierw wypływały na powierzchnię, a potem wolno opadały.

Zaskoczył ją fakt, iż Sam potrafił z łatwością nawiązać kontakt z małym chłopcem. Zbyt surowo oceniała Sama, sądziła bowiem, że jest on za bardzo niecierpliwy, by zajmować się dziećmi.

Po chwili do kuchni weszli rodzice Michela: Ellen i Jack. Im również spodobała się sztuczka pokazywana przez Sama.

- Dziękuję, że zająłeś się Michele - powiedziała Ellen, kładąc dłoń na ramieniu Sama. - Opiekunka odwołała swoje przyjście, więc musieliśmy zabrać go na przyjęcie. Na szczęście Bree kocha dzieci, bo

inaczej nie moglibyśmy przyprowadzić tu Michela. Teraz musimy już wracać do domu.

- Hej, Michel, następnym razem pokażę ci sztuczkę z barwieniem jedzenia. - Obiecał Leong na pożegnanie.

- Powinniśmy to posprzątać... - stwierdził Jack, podnosząc z podłogi słoik z majonezem.

- Och, zostaw, ja to zrobię - zaproponował Sam - to przecież drobiazg. I tak prawdopodobnie wyjdę stąd ostatni.

Słyszając te słowa, Bree spojrzała na Leonga ze zdziwieniem. „Cóż on sobie wyobraża?” - pomyślała poirytowana. Nie rzekła jednak ani słowa. Kiedy Jack i Ellen pożegnali się i opuścili kuchnię, podeszła do Leonga.

- Czy nie sądzisz, że twoje stwierdzenie było nieco zarozumiałe? Dlaczego uważasz, iż wyjdiesz stąd ostatni?

Sam wyrzucił majonez z rodzynkami do śmieci.

- Obserwowałem twoich przyjaciół - odparł po chwili. - Nie zauważyłem, żebyś w tym towarzystwie kogokolwiek szczególnie wyróżniała. Więc pomyślałem, że jak wszyscy wyjdą...

Bree zaniemówiła. Ten człowiek był niewiarygodny. Czyż on nie potrafi kontrolować swych wypowiedzi? Czy w ogóle zastanawiał się nad swoimi słowami? Już zamierzała ukarać zarozumiałstwo Leonga jakimś ostrym docinkiem, lecz przeszkodził jej w tym okrzyk dobiegający z pokoju.

- Proponuję toast za Bree! - krzyknął Paul, ścisząc muzykę. - Podejdźcie tu wszyscy, proszę.

Bree nie wiedziała, o co chodzi. Często wydawała przyjęcia, jednakże nigdy jeszcze nie wprowadzono jej w zakłopotanie w taki sposób. Cynthia Goodman wręczyła jeden kieliszek Bree, drugi Samowi.

Paul odkaszlnął i uniósł swój puchar w górę.

- Bree nie należy do tych, którzy chwalą się swoimi sukcesami, więc postanowiłem zrobić to za nią – rzekł uroczyście. - Wiem o czymś, co ukaże się w mass mediach dopiero w przyszłym tygodniu. Ale, jak zwykle, przyjaciele powinni zostać o wszystkim poinformowani wcześniej.

Bree znieruchomiała. Paul miał znajomych w Radzie Miejskiej. „Nie! O Boże, nie! Nie może tego powiedzieć przy Samie” - myślała w popłochu. Potrzebowała czasu, żeby to wszystko osobiście wytłumaczyć Leongowi.

- Proponuję toast za Bree Jeffries, nowo mianowanego dyrektora - kontynuował Paul. - Bree będzie nadzorowała kampanię na rzecz poprawy bezpieczeństwa jazdy, szczególnie w firmach, które zajmują się przewozem przesyłek!

Sam niczym zahipnotyzowany spoglądał na Bree. Nigdy jeszcze nie czuł się tak zdradzony. Burmistrz był jego bardzo bliskim przyjacielem. Rada Miejska korzystała z usług Silver Rockets przez ostatnich pięć lat. Dlaczego nikt mu nie powiedział? Dlaczego nikt nie poprosił go, żeby poprowadził kampanię? Sam odstawił kieliszek wina i ruszył w kierunku wyjścia.

- Sam! Poczekaj! - zawołała za nim Bree i położyła dłoń na jego ramieniu. - Nie chciałam, żebyś się dowiedział w ten sposób, naprawdę - wyszeptała. - Prosiłam w biurze burmistrza, żeby nie podawali tej wiadomości do prasy, dopóki nie wyrażę na to zgody. Postanowiłam sama

zawiadomić wszystkich uczestników. Miałam nadzieję porozmawiać z tobą na ten temat w czasie ostatniego lunchu. Pragnę, żebyś wziął udział w całym tym przedsięwzięciu.

- A jaką rolę przewidujesz dla mnie? Kozła ofiarnego? Chłopca do bicia? - zapytał ironicznie. - W tym tygodniu już dwa razy przypomniałaś mi o okropnym zaniedbaniu w mojej firmie, jeśli chodzi o bezpieczeństwo jazdy. Czy zamierzasz podać ten fakt do publicznej wiadomości? - rzekł ze złością.

- Sam, czy możemy spotkać się i przedyskutować tę kwestię, kiedy zapanujesz nad swoimi emocjami? -zapytała

Sam pochwycił jej dłoń i ścisnął boleśnie.

- Przypuszczam, że masz obsesję na punkcie tego, żeby zająć pierwsze miejsce w San Francisco - stwierdził. - Poradziłaś mi, żebym sprawdził notowania na giełdzie. Zrobiłem to. Przyznaję, iż twoje postępy są niewiarygodne. Jestem tylko trochę zdziwiony i rozczarowany, że doszłaś do tego okrężnymi drogami i używasz tej całej kampanii, by zająć miejsce na szczycie.

- Okrężnymi drogami?! Używam podstępu?! - odpowiedziała z wściekłością Bree i wyszarpnęła swoją dłoń. - A wytłumacz mi, co się stało z firmą, która była na szczycie przed Silver Rockets? Dziwisz się, że chcę osiągnąć sukces? Czy to coś złego?

- Do diabła! Nie! - krzyknął rozdrażniony. - Zrozum, pracowałem bardzo ciężko nad tym, by zdobyć pierwsze miejsce. Dlatego nie mogę dopuścić, aby ktokolwiek zabrał mi to, co osiągnąłem. A w dodatku mam tuzin krewnych, którzy są uzależnieni od mojej firmy.

Bree była zrozpaczona. Musiała pozyskać Leonga dla swojej sprawy. Ale zależało jej również na nim. Nigdy nie spotkała tak niezwykłego mężczyzny.

Nie mogła pozwolić mu odejść. Istniała tylko jedna szansa, by przekonać go o swoich dobrych intencjach. Na podstawie wcześniejszych obserwacji doszła do wniosku, iż Leong kocha dzieci, świadczył o tym sposób, w jaki potraktował małego Michela.

- Sam, czy twoi bratankowie i bratanice pracują dla ciebie? - zapytała cicho i spokojnie. - Dzieciaki, na które patrzyłeś, jak rosną?

- Oczywiście - odpowiedział opryskliwie. - To jest jedyny sposób, żeby im pomóc finansowo.

- Jakbyś się czuł, gdyby któreś z nich zostało okaleczone na całe życie, ponieważ nie nalegałeś i nie dopilnowałeś, żeby nosiło kask ochronny? Czy nie miałbyś wyrzutów sumienia, gdyby któreś z nich doprowadziło do śmiertelnego wypadku tylko dlatego, że nakłoniłeś je do pośpiechu i co za tym idzie, do łamania podstawowych przepisów drogowych? - ciągnęła Bree.

Sam popatrzył w ciemne oczy dziewczyny. Dostrzegł w nich powagę i stanowczość. Zamierzał wyjść z tego domu i nigdy już tu nie powrócić. Ale coś nie pozwalało mu tak postąpić. Bree wierzyła w to, co mówi, czuł, iż nie chce go oszukać. A niech to, przecież ona może mieć rację.

- W porządku, możemy się spotkać. - Odparł po chwili wahania. - W poniedziałek na obiedzie?

- Dobrze - zgodziła się Bree.

- Przypuszczam, że masz pewne zastrzeżenia. Żadnych szybkich samochodów, łodzi czy szybkich rozmów... nawet szybkich ruchów? - dodał ironicznie.

- Sam, nie mówiłam nic na ten temat... - szepnęła, kiedy wychodził.

RS

Rozdział czwarty

- Świetnie, czekam na ciebie w piątek, na konferencji prasowej. Doceniam twoją chęć współpracy. Do zobaczenia. - Bree zakończyła telefoniczną rozmowę z Stuartem Binghamem, właścicielem firmy kurierskiej Bullseye. Odłożyła słuchawkę i spojrzała na spis największych firm przesyłkowych w San Francisco.

Silver Rockets była jedyną na liście, której jeszcze nie skreśliła. Bree miała nadzieje coś zdziałać dzisiejszego wieczora. Wiedziała, że Sam od rana próbował się z nią skontaktować, ale ona musiała wykonać masę telefonów. W końcu poprosił sekretarkę, Rosemary, żeby przekazała pani Jeffries, że Sam Leong odwiedzi ją w domu dziś wieczorem.

Bree wzięła czystą kartkę papieru i zaczęła zastanawiać się nad oficjalną nazwą dla kampanii. „Chyba najpierw wypiszę wszystkie wyrazy, które mogą mieć związek z całym przedsięwzięciem” - pomyślała i zaczęła wypisywać słowa w kolumnie. Bezpieczeństwo, dzieci, ulice, koła, rowery, szybkość... Zwykle nie miała problemów z podobnymi zadaniami, ale dzisiaj nie potrafiła się skoncentrować. Nie mogła zapomnieć spojrzenia Sama, gdy rozmawiali w sobotę na przyjęciu.

Nagle Rosemary gwałtownie wtargnęła do pokoju. Bree lubiła tę rudowłosą kobietę w średnim wieku. Sekretarka potrafiła świetnie panować nad całym biurowym bałaganem. Bree ze zdziwieniem spojrzała na nią.

- Proszę przyjść i spojrzeć w ekran TV! - wykrzyknęła podniecona. - Proszę się pospieszyć. To ten mężczyzna! Stoi na krawędzi budynku!

Bree sądziła, że Rosemary mówi o jakimś filmie. Sekretarka zgodziła się pracować w Softpedalers Incorporated pod warunkiem, że będzie mogła oglądać swoje ulubione seriale telewizyjne.

- T-to są ostatnie wiadomości! - wyjąkała. - Proszę się pospieszyć. On jest na krawędzi!

- Jakiego budynku? - pytała Bree, wstając z fotela. - Co to za mężczyzna? - Żądała odpowiedzi. - Rosemary, o czym ty mówisz?

- To ten mężczyzna, który dzwonił rano. No, ten gość, z którym idziesz dzisiaj na kolację. Leong. Sam Leong. Był tu w zeszłym tygodniu, żeby się z tobą zobaczyć. Jestem pewna, że to on. Patrz! O, mój Boże! Nie, nie patrz! - Rosemary wskazała na ekran telewizora. - Rozmawiałam z nim dzisiaj rano. Co będzie, jeśli on się zabije? Bree, nigdy nie widziałam trupa! -jęknęła sekretarka.

- Uspokój się - powiedziała cicho Bree, raczej do siebie niż do sekretarki. Podeszła do odbiornika, żeby móc wyraźnie słyszeć głos reportera.

- Jakiś biznesmen stoi na krawędzi trzypiętrowego budynku. Ma bose stopy. Wszedł tam, by udzielić pomocy szalonemu „alpinieście”.

Bree poczuła nagle zawrót głowy. Rosemary miała rację. To był z pewnością Sam. Mówił coś do młodego człowieka, który stał nieruchomo na krawędzi trzeciego piętra. Pomimo wysokości i niebezpieczeństwa Sam był spokojny i opanowany.

- Dotarła do nas wiadomość, że mężczyzna w garniturze to Sam Leong, właściciel Silver Rockets. -Zakomunikował reporter. - Pan Leong siedział w swoim biurze, kiedy nagle... Oczywiście, możemy jedynie

spekulować na temat, jak doszło do tej dziwnej sytuacji. Mamy nadzieję, że obaj mężczyźni przeżyją i opowiedzą całą historię.

Bree z przerażeniem wpatrywała się w ekran telewizora.

- Pan Leong prawdopodobnie pracował w biurze, kiedy usłyszał wołanie o pomoc - mówił reporter. -Bez wahania ruszył na ratunek młodemu, nieznanemu człowiekowi. Jak państwo widzą, Samson Leong usiłuje bezpiecznie sprowadzić na dół przerażonego młodzieńca.

Kamera wciąż śledziła sytuację, a reporter komentował. Bree czuła, że już dłużej nie wytrzyma napięcia, jednak uparcie obserwowała całe zdarzenie.

Z ulicy przychodzili gońcy, żeby zobaczyć rozgrywający się na ekranie telewizora dramat. Kurierzy opuścili swoje stanowiska, ale Bree nie zwróciła na to uwagi. Niczym zahipnotyzowana stała między swymi pracownikami; teraz nie myślała o zyskach ani stratach firmy. Było jej to w tej chwili obojętne.

- Przed naszym mikrofonem jeden z pracowników Sama Leonga - krzyczał reporter. Kamera przez cały czas pokazywała Sama i młodego człowieka. - Panie Glascow, co pan może powiedzieć o swoim szefie?

- Dużą wagę przywiązuje do ubioru. Sądzę, że kiedy przyszedł dzisiaj rano do biura, miał na nogach swoje czarne buty...

Bree nie mogła powstrzymać uśmiechu. W momencie grozy ludzie zdobywali się jeszcze na odrobinę humoru. Była zachwycona Samem. Emanowały z niego życie, energia i temperament. Przypomniała sobie lunch na łodzi. Jego usta tak namiętnie ją całowały. A te pocałunki wzbudzały w niej dreszcz emocji.

Nagle oczami wyobraźni Bree zobaczyła spadające postacie, leżące ciała, krew...

- Straż pożarna i policja oraz pogotowie znajdują się pod budynkiem.

- Bree usłyszała głos dziennikarza. - W oknie na trzecim piętrze widzimy oficera policji. Wiemy już, że Sam Leong nabył firmę Silver Rockets od swojego wujka dwa lata temu. Wcześniej, kiedy jeszcze uczęszczał do college'u, pracował jako kurier. Wielu pracowników, którzy tu stoją, to krewni pana Leonga. W tej firmie pan Samson zatrudnia większość rodziny. Sam Leong jest najmłodszym z czterech synów chińskich emigrantów. Brał czynny udział w życiu społecznym miasta...

"Brał! - z oburzeniem pomyślała Bree. - Ten reporter jest beznadziejny!"

Nagle zauważyła, że przerażony „alpinista” zaczyna schodzić w dół. Sam mówił coś do niego uspokajająco i wskazywał mu drogę. Dziennikarz komentował to zdarzenie. W końcu Sam i jego „podopieczny” znaleźli się w bezpiecznym miejscu. Zebrany pod budynkiem tłum krzychał entuzjastycznie.

Kamera pokazywała gapiów. Bree rozpoznała pracowników Sama. Ogarnęła ich euforia. Wznosili okrzyki na cześć swojego szefa.

Po dziesięciu minutach oszołomionego „alpinistę” wprowadzono do wnętrza budynku. Leong stał przed wejściem i machał ręką do tłumu. Wiatr targał jego gęste czarne włosy, a on skromnie się uśmiechał.

Na ekranie ukazał się czteroliterowy napis. Bree przestała już słuchać słów reportera.

Zapominając o przerażeniu, jakie ją ogarnęło kilkanaście minut wcześniej, uświadomiła sobie coś innego. Sam Leong miał odegrać w jej kampanii kluczową rolę.

To było gorączkowe popołudnie. Sam udzielił kilku krótkich wywiadów dla prasy, potem jednak wyprosił dziennikarzy, tłumacząc się brakiem czasu.

Myślał o wieczornym spotkaniu z Bree. Miał nadzieję, że dziewczyna nie oglądała bezpośredniego przekazu telewizyjnego. Na dzisiejszy wieczór zaplanował coś innego i nie chciał dyskutować o tym, co zaszło.

„Przez najbliższe parę tygodni zwolnię trochę tempo swego życia. Będę zdobywał ją w-o-l-n-o" - rozmyślał w czasie rowerowej podróży do wiktoriańskiego domu Bree. Skoro nie robiły na niej wrażenia szybkie samochody i przejażdżki łodzią, więc musiał znaleźć coś innego, co mogłoby jej zaimponować. W jednym ze swych oddziałów wyszukał dwuosobowy rower „Gemini”, pomalowany w białe i czarne pasy. Nie mógł znaleźć bardziej romantycznego środka lokomocji na dzisiejszy wieczór. Długa jazda z biura do domu Bree pozwoliła Samowi na swobodne rozmyślania o jego niezwyklej konkurentce.

Sam doszedł do wniosku, że dziewczyna lubi przebywać w swoim mieszkaniu. Przypomniawszy sobie obite perkalem meble, gustownie dobrane ozdoby i mnóstwo roślin.

Wszystkie pomieszczenia zostały urządzone z prostotą oraz elegancją i emanowało z nich ciepło. Były pełne uroku, przytulne.

A Bree? Jaka ona była w rzeczywistości? Twierdziła, że nie znosi gwałtowności i pośpiechu, że lubi zorganizowany, ustabilizowany tryb życia.

Sam wyczuwał intuicyjnie, że w jej wnętrzu mieszka mały duszek, który tęskni za odkrywaniem tajemnic i za szalonymi przygodami. Sam Leong traktował bardzo poważnie tę znajomość. „Ona jest tego warta” — szepnął do siebie, kiedy z rowerem na ramieniu wspinał się po schodach do jej domu. Jednak jeszcze gdzieś w głębi jego umysłu kiełkowało ziarenko niepewności i wątpliwości. Czy Bree zainteresowała się jego osobą wyłącznie ze względu na kampanię burmistrza?

Bree wyszła z pracy wcześniej, by zdążyć na wiadomości telewizyjne. Chciała jeszcze raz usłyszeć komentarz na ten temat. Tak jak przypuszczała, szczegółowo przedstawiono całą sytuację, program wzbogacono o inne wiadomości dotyczące obecnego życia i burzliwej przeszłości Samsona Leonga.

Pokazano nawet fragmenty wywiadu przeprowadzonego, kiedy Sam miał dziewiętnaście lat. Wygrał wówczas bezsensowny wyścig rowerowy. Posłańcy mieli za zadanie przewieźć transport surowych jajek.

Sam jako jedyny dowiózł na metę nie uszkodzony ładunek, podczas gdy inni zawodnicy w czasie nieostrożnej jazdy rozbijali jedno jajko za drugim. " Już wtedy - pomyślała Bree - uśmiechał się tak uroczo".

Oglądając program telewizyjny, Bree zaczęła się przebierać.

Chciała obejrzeć cały reportaż. Nie interesowało jej to, że Samson spędza swój wolny czas, ryzykując życie czy też uganiając się za kobietami, ale to, że był przyjacielem burmistrza. Bardzo dobrym

przyjacielem, nic więc dziwnego, że złościł się o to, że pominięto go w przygotowaniach do kampanii!

Bree założyła wąską spódnicę rozpinaną z przodu. Nagle usłyszała dzwonek do drzwi.

Nie miała czasu przemyśleć wszystkiego. Wciąż jeszcze zastanawiała się, jaką rolę w kampanii miał odegrać Sam Leong.

- Kto tam? - zapytała Bree, zapinając bluzkę.

- To ja, Sam - odpowiedział mężczyzna. Ciepły ton jego głosu sprawił, że zapragnęła zobaczyć go jak najszybciej.

- Zaraz ci otworzę - powiedziała przez domofon.

- Nie, nie - zaproponował. - Lepiej, jeśli poczekam z gemini na schodach.

- Z gemini? - powtórzyła nieco zaskoczona. - A... ! Wiem, nie musisz mówić. To jest koniec wyścigowy. Oczywiście, bardzo szybki koniec.

- Hmm, nie zgadłaś - odrzekł Sam ze śmiechem. - Będziesz gotowa za chwilę?

Jej ciekawość została podrażniona. „Czyżby rzeczywiście przyprowadził ze sobą konia... ?” - pomyślała z obawą.

- Zaraz zejść na dół - odpowiedziała. Wzięła torebkę i przed wyjściem wyłączyła telewizor.

W pięć minut później jechali na gemini, poszukując pizzerii. "Jak mogłam wsiąść na ten dziwny rower" - pomyślała Bree. Mimo wszystko była w świetnym nastroju.

Po raz drugi Sam miał na sobie ubranie stosowne do sytuacji, to znaczy koszulkę polo i szorty, podczas gdy Bree męczyła się w wąskiej,

ciasnej spódnicy z pewnością niezbyt odpowiedniej na rowerowe przejażdżki.

Ludzie z zainteresowaniem spoglądali w ich stronę. Sam zatrzymał pojazd i stanął obok, przytrzymując rower ręką. Rozbawiony przyglądał się Bree. Dziewczyna bezskutecznie próbowała naciągnąć swą czerwoną, wąską spódnicę na kolana.

- Czy masz jakiś problem? - zapytał.

- Nie... Wszystko w porządku - odrzekła zakłopotana.

- Pizzeria jest niedaleko. - Poinformował Sam i rozpiął Bree spódnicę. - Lepiej? - zapytał.

- Ludzi nie obchodzi moja spódnica ani moje nogi. Oni patrzą na ciebie. Jesteś tematem dnia. Twoja pokazowa wspinaczka sprawiła, że stałaś się osobą, którą rozpoznaje się na ulicy.

Sam popatrzył na ciekawskich przechodniów, a potem w oczy Bree. Więc widziała reportaż w telewizji. To mogło trochę skomplikować jego plany na wieczór.

Spojrzał na swój pasiasty rower. Z kierownicy zwisały kolorowe serpentyny.

- Bree, czy gemini nie jest zbyt pstrokaty jak na twój gust? - zapytał zaniepokojony.

- Nie, bardzo mi się podoba - odrzekła, dotykając ramienia mężczyzny. - Wygląda zabawnie i z pewnością ma swoją historię. Uwierz mi, ludzie zwracają na nas uwagę przez to dzisiejsze wydarzenie. Myślałam, że będzie inaczej.

- Oczywiście, że tak - zapewnił i mrugnął do niej szelmowsko. -
Znajdziemy jakieś odosobnione miejsce w parku, gdzie tylko mrówki będą się nam przyglądać.

Bree roześmiała się i potrząsnęła głową.

- A gdybyśmy tak zadarli głowy i z przejęciem obserwowali szczyty tych wysokich budynków? - dodał po chwili. - Sądzę, że ci ludzie z pewnością też by tam spoglądali - rzekł z przekonaniem.

- Hm, może masz rację - niepewnie odparła Bree.

- Więc wpatrujmy się tam z przejęciem.

- Sam... - jęknęła.

- Popatrz tam, proszę - rzekł miękko i spojrzał do góry. Bree z wahaniem uczyniła to samo.

- Bree, patrz tam przez cały czas.

- To jest głupie - szepnęła, ciągle wpatrując się w budynek. - Nawet nie ma tam nic interesującego...

Nie dokończyła zdania, gdyż Sam przyciągnął dziewczynę do siebie i pocałował ją namiętnie.

Bree pomyślała, że ta cała komedia, odegrana niby dla zmylenia przechodniów, została ukartowana. Lecz nawet gdyby tak było, nie miało to teraz żadnego znaczenia. Pocałunek tego mężczyzny kompletnie nią zawładnął i oszołomił. Nagle zapragnęła wyznać Samowi, że uwielbia go. Postanowiła udowodnić, iż jest dla niej kimś więcej niż partnerem w interesach.

Rozdział piąty

- Tak więc członkowie naszego komitetu będą spotykać się co tydzień, by omówić postępy w realizowaniu planu i, oczywiście, żeby przedyskutować nowe pomysły - powiedziała Bree do Sama.

- Czy uważasz, że postąpiłem nierozważnie, pomagając temu niefortunnemu „alpiniście”? Czy to, że opisali tę historię w gazetach, może zaszkodzić kampanii? - zapytał Sam.

- Trudno przewidzieć, jakie to wywarło wrażenie. Jednakże mimo wszystko myślę, że nie ma potrzeby odwoływać piątkowej konferencji prasowej - rzekła z namysłem Bree. - Jeśli chodzi o moje odczucia, to również chciałabym komuś pomóc. Ale prawdopodobnie nie jestem tak impulsywna jak ty.

- Ja po prostu to zrobiłem. Kiedy zobaczyłem tego biednego, przerażonego chłopca stojącego na krawędzi budynku, nie myślałem o niczym. Musiałem szybko działać, by go uratować. - Sam podniósł plastikowy kubek z czerwonym winem i pił bardzo powoli. - Na początku myślałem, że to samobójca - rzekł po chwili. - Chciałem z nim porozmawiać, przekonać go, by zaniechał swego czynu. Ale chłopak zapewnił mnie, że nie zamierza popełnić samobójstwa, tylko dla fantazji chciał wdrapać się na szczyt budynku. Niestety, nerwy odmówiły mu posłuszeństwa.

- Co mu powiedziałeś? - zapytała.

- Poradziłem mu, żeby nie patrzył w dół - odpowiedział. -

Zapewniłem go, iż pod budynkiem czekają strażacy z rozpostartą płachtą i

złapią go, gdyby spadł. Dałem mu również kilka wskazówek na przyszłość.

- Zdaje się, że to podziałało.

- Zdradziłem mu również pewien sekret - rzekł Sam, spoglądając na Bree.

Czekała z napięciem. Nastąpiła dłuższa cisza. „To nie w porządku, Leong - pomyślała. - Skąd on wie, że sekrety doprowadzają mnie do szaleństwa?”

- Przypuszczam, że muszę sama wspiąć się na jakiś wielopiętrowy budynek, by poznać tę tajemnicę. - Zagadnęła z kpiącym uśmiechem.

- Nie - odparł rozbawiony. - Tak naprawdę, to nic wielkiego, żadna tajemnica. Ja po prostu mam doświadczenie w takich wspinaczkach, gdyż sam próbowałem podobnych wyczynów. Jeszcze w czasach, gdy chodziłem do college'u, postanowiłem zdobyć szczyt pięciopiętrowego budynku. W dodatku jego właścicielem był mój starszy brat. Miałem szczęście, bo osiągnąłem swój cel i zachowałem życie. Kiedy moja matka dowiedziała się o tym wyczynie, omal nie rozszarpała mnie ze złości. Postanowiła nauczyć mnie dyscypliny.

- Ale byłeś przecież dorosłym człowiekiem.

- Tak, ale nie dla mojej rodziny. Uważali mnie za wcielonego diabła - powiedział Sam ze śmiechem. - Zmuszono mnie wówczas do wysłuchania trzech niewiarygodnie nudnych wykładów.

- No cóż, dzisiaj z pewnością pomogłeś temu lekkomyślnemu młodzieńcowi i chwała ci za to. Jednak dla dobra kampanii nie wspinaj się na dachy budynków przynajmniej przez najbliższych parę dni - rzekła z

przekąsem Bree. -I czy mógłbyś uważać na swoją reputację podczas trwania całej tej imprezy?

- Reputację?

- Tak, kamikadze. Dla twoich pracowników jesteś autorytetem. Nie dziwię się teraz, że bezpieczeństwo na drogach... jest często zaniebywane. Dla nich jesteś odważnym, nieustraszonym ryzykantem. Powinieneś usłyszeć, w jaki sposób wychwalali twoje niezbyt rozsądne eskapady.

- Mogę to sobie wyobrazić - westchnął Sam. - Cała ta kampania jest chyba rzeczywiście potrzebna miastu.

- Więc przystajesz na współpracę? - zapytała z niedowierzaniem.

- Zrobię, co zechcesz - obiecał. - Mam już nawet kilka pomysłów. Można by podarować kilka rowerów dzieciom z uboższych rodzin. W sobotę możemy zorganizować lekcje bezpiecznej jazdy na rowerach dla dzieci we wszystkich grupach wiekowych. Należy bezpłatnie naprawiać hamulce i montować światła...

- Sam! - wykrzyknęła zdziwiona Bree.

- To tylko moje sugestie - odparł niepewnie.

- To najlepsze pomysły, jakie dotąd słyszałam. Jesteś w tym dobry, prawda?

- Mam dużo doświadczenia, jeśli chodzi o tego rodzaju inicjatywy. Kiedy byłem dzieckiem, ojciec zachęcał nas wszystkich, moich braci, kuzynów, żebyśmy brali udział w takich przedsięwzięciach organizowanych w Chinatown. Ale oczywiście, prawdopodobnie ty to już wiesz. Mass media odsłoniły całą historię mojego życia. To nie w porządku. Jest tylko jeden sposób, żeby to wyrównać.

- Czy teraz ja mam zostać bohaterką dnia?

- Nie, zadam ci po prostu wiele pytań dotyczących twojej przeszłości.

- Wtedy cała moja tajemniczość zniknie - zaprotestowała Bree. - Zresztą wątpię, żeby moje życie obfitowało w taką ilość przygód jak twoje.

- Czyżby? - zapytał z powątpiewaniem. - Żałuję teraz, że nie oglądałem tych reportaży. Mógłbym domagać się praw autorskich.

- Nie były one aż tak ekscytujące - odparła Bree.

- Nie wierzę. Nie oczekuj, że zbędziesz mnie byle czym.

Przypuszczam, że masz kilka rzeczy do ukrycia.

- Może pojedziemy do mojego domu na kawę - zaproponowała. - Tam będziesz mógł przeprowadzić ze mną wywiad. Zresztą, możesz zacząć już w drodze.

- W porządku - przystał ochoczo. Przytrzymał rower, kiedy Bree wsiadała. - Po pierwsze, gdzie się urodziłaś? - zapytał.

- W Hong Kongu.

- Czy pamiętasz coś z tego okresu?

- Moja matka była Chinką, a ojciec Anglikiem. Z jakichś nie znanych mi powodów trafiłam do sierocińca. Wkrótce zostałam adoptowana przez starszą, amerykańską parę, Herberta i Annę Jeffriesów. Miałam wówczas niespełna rok. Wraz z nimi wyjechałam z Hong Kongu.

- To tłumaczy, dlaczego nie mówisz po kantońsku. Nie miałaś kontaktu z kulturą Chin, nie znasz tradycji.

- Sam uświadomił sobie, że może sprawiać jej przykrość tymi stwierdzeniami, więc szybko zadał kolejne pytanie. - Gdzie się wychowywałaś?

Bree zamyśliła się. Zawsze miała świadomość, że tylko w części jest Chinką. Czyżby Sam obawiał się, że jego rodzina nie zaakceptuje kobiety, która nie mogłaby nauczyć ich dzieci mówić po kantońsku, kobiety, która nie zna kultury swego narodu ani jego tradycji? To mogło w przyszłości stanowić poważny problem...

- Niedaleko stąd, na półwyspie San Carlos - odparła po chwili.

- Nic dziwnego, że twoja cera jest tak piękna. Lecz to jeszcze nie tłumaczy tych rumieńców. To raczej staroświeckie. Czy byłaś kiedyś zakochana?

Odruchowo dotknęła swych policzków. „Jak można zapanować nad rumieńcami?” - pomyślała. Przypomniała sobie jego pytanie.

- Czy byłam już zakochana? Mówisz serio?

- To podstępne pytanie. Nie musisz odpowiadać...

- Raz - odparła po chwili. - Myślałam, że to miłość. Cała historia trwała trochę więcej niż sześć miesięcy. - Czuła, jak jej policzki płoną. Nie z zakłopotania, lecz raczej z oburzenia. Sam nie miał prawa pytać o szczegóły. Lecz odpowie na to pytanie, bo tego chce.

- Gregory Gionatti pragnął kobiety, która byłaby od niego uzależniona. Kobiety, która chciałaby poświęcić się całkowicie czemuś, co było jedynie tłamszącym związkiem. - Bree mówiła z goryczą.

- To chyba nie jest twój ulubiony temat, więc zostawmy go - zaproponował. - Dlaczego zostałeś gońcem?

- Po olimpiadzie wyjechałam na tournee. Potem skończyłam szkołę i...

- Olimpiada? Uczestniczyłaś w olimpiadzie?

- Tak, należałam do długodystansowej drużyny kobiet.

Współzawodniczyłam przez całe moje życie i to był wielki, wspaniały finał. - Przerwała. Wspomnienie tamtych lat miało gorzkawy posmak.

Trudno jej było rozstać się z drużyną. - Przyszedł czas, żeby zacząć karierę w interesach - kontynuowała. - Jeździłam przez sześć miesięcy. Potem postanowiłam wykorzystać duży majątek odziedziczony po dziadkach. Zaczęłam wykupywać małe firmy i teraz... - Bree nie chciała już wspominać o tym, że osiągnęła sukces. Wieczór był zbyt piękny, żeby zniszczyć go dyskusją o notowaniach na giełdzie.

- I teraz? - powtórzył Sam.

- Teraz jesteśmy prawie w domu. Znajdź gdzieś miejsce, żeby zaparkować rower, a ja w tym czasie przygotuję kawę.

Sam wypoczywał na sofie obok Bree. Słuchał jej opowieści o życiu.

Patrzył na bluzkę Bree w kolorze kości słoniowej. Dwa guziki odpięły się, odsłaniając różową bieliznę.

- Treningi nauczyły mnie kontrolować siebie... -Bree wyjaśniała dalej.

Zaparło mu dech, kiedy zaczął obserwować zmysłowy cień między jej piersiami. Dostrzegł też koronkowy staniczek.

- Samokontrola jest bardzo ważna- kontynuowała.

Sam przypomniał sobie, że musi zdobywać ją powoli. Ogień, który pali się długo, jest lepszy niż szybki błysk. Ktokolwiek to powiedział, na pewno nie się działo blisko Bree, nie słuchał jej słodkiego głosu, patrząc na

ten cień... tę koronkę... atlas jej skóry. Sam przełknął ślinę. Nie przewidział takiej sytuacji. Był bardzo podniecony.

Bree wciąż mówiła.

- Mogę to stosować również w moim osobistym życiu - dodała wyjaśniająco. - Jeśli czuję, że coś jest warte, by za tym podążać, najpierw zmierzam do tego wolno, a kiedy jestem już pewna swego celu, następuje końcowe przyspieszenie.

- Bree, czy mówisz o uczuciach? - zapytał cicho.

- Myślę, że tak. - Westchnęła. - Wrażenia, spostrzeżenia, pragnienia.

- Delikatnie pieściła jego szyję. - Mówię o tym, co czuję do ciebie - szepnęła.

Sam walczył z własnym pożądaniem. Chciał działać ostrożnie, a ona wspomniała o końcowym przyspieszeniu.

Dziewczyna zaśmiała się niespodziewanie.

- Co cię tak śmieszy? - zdziwił się.

- Przypomniałam sobie pewien program telewizyjny. Sam, jesteś bohaterem.

- Niewłaściwe określenie - szepnęła. - Tak naprawdę nie mam litości dla takich kobiet jak ty... - Całował namiętnie jej dłonie.

- Sam, nie należę do kobiet, które się przywiązują... - Wspomniała swój związek z Gregiem.

Bree usiadła. Delikatnie wyswobodziła swoją rękę z uścisku Sama.

- Sam, jestem bardzo niezależna.

- To brzmi raczej groźnie, nie sądzisz?

- Tak, ale w tej chwili czuję, że mam ochotę cię pocałować.

Objęła go za szyję i długo całowała. Potem Sam pieścił jej ciało. Obsypywał pocałunkami jej głęboki dekolt. Wyczuwał przyspieszone tętno dziewczyny. Wolno przesuwał dłoń w kierunku piersi Bree. Czuł pod palcami twarde sutki. Słyszał jej podniecające westchnienia.

Roześmiała się, kiedy schwycił delikatnie jej dłoń zębami. Sam wiedział, że powoli traci nad sobą panowanie, przestaje się kontrolować. Musiał jej o tym powiedzieć.

- Trenowałaś na długie dystanse, a ja zawsze byłem sprinterem - szepnął ochryłym z pożądania głosem. - Myślę, że powinniśmy przestać, gdyż oboje wiemy, jak to się może zakończyć.

Bree uśmiechnęła się i przytuliła do Samsona.

- Chciałbym odwiedzić ten pokój, kiedy będzie jasno... kiedy zaświeci słońce. Sądzę, że wtedy jest tu jeszcze piękniej - rzekł półgłosem.

- Czy zdajesz sobie sprawę, że nawet nie wiem, jakiego koloru są twoje ściany?

- Różowe.

- Różowe? Sądzę, że spodobają mi się... w blasku słońca, kiedy będziemy kochać się pierwszy raz... -Dodał po chwili.

Kiedy konferencja prasowa dobiegała końca, Bree była wściekła. „Leżeć w promieniach słonecznych z Samem Leongiem. Ten podstępny, próżny, żądny sławy... - myślała ze złością. - Jak on mógł?!” Z trudem panując nad nerwami, uśmiechnęła się i odpowiedziała na pytanie zadane przez kobietę z lokalnej stacji radiowej.

Kątem oka dostrzegła, że Sam opuścił grupę reporterów i wyraźnie zmierzał w jej stronę. Jednak nie był tak pewny siebie jak zazwyczaj. Przypuszczalnie wiedział, że czeka go ciężka przeprawa z panną Jeffries.

Kiedy dziennikarka z radia zakończyła wywiad i odeszła, Sam zbliżył się do Bree.

- Gratulacje. - Schylił się, żeby pocałować ją w policzek. - Burmistrz wyglądał na zadowolonego, nie sądzisz? Twoja prezentacja była świetna...

- Tak, a po niej nastąpił Silver Rockets Show! -rzekła ze złością Bree i ruszyła do wyjścia. Sam w milczeniu podążył za nią.

- Dlaczego nie uprzedziłeś mnie, że przyprowadzisz pięciu swoich gości? Teraz członkowie komitetu zastanawiają się, dlaczego nie kazaliśmy im przyprowadzić swoich posłańców. Z pewnością pomyśleli, że zaaranżowaliśmy całą sytuację.

- Nigdy by mi nie przyszło do głowy. - Sam zrobił niewinną minę. - Sądzisz, że gońcy nie wywołali korzystnego wrażenia?

- Oni! To twoja czołowa ekipa, prawda? Hunka-Hunka, Waterloo, Peg, Majo i Sacramenta - nie ma co, dobrana paczka! Ktokolwiek widział, jakie ci maniacy zostawiają zniszczenie na ulicy i zna fakty, z pewnością nie nabrał się na te sztuczkę! - wykrzyknęła ze złością i zatrzymała taksówkę.

- Prasa była nimi zachwycona - zaproponował Sam. - Zresztą wkrótce na pewno usłyszymy komentarze na ten temat. - Otworzył tylne drzwi samochodu. Bree wsiadła, a on rozsiadł się wygodnie obok niej.

- Co ty wyprawiasz? - zapytała zdziwiona, a zarazem poirytowana jego bezceremonialnym zachowaniem.

- To jedyna szansa, żeby ci wytłumaczyć mój punkt widzenia. Hunka-Hunka...

- I to było najgorsze - przerwała. - Ten idiota zbiera największą ilość kar za łamanie przepisów drogowych! Do tego miał tupet, żeby

przyprowadzić swojego syna i mówić o bezpieczeństwie dzieci na drogach.

- Myślałem, że podejdziesz do tego zupełnie inaczej.

- Sądziłam, że będziesz bardziej sumienny. Tak się obawiałeś dyskusji na temat zasad bezpieczeństwa w twojej firmie, że przyprowadziłeś sobie ochronę? -zapytała kąśliwie.

- Ochronę?! - wykrztusił poirytowany. - Wiem, że ci rowerzyści wyglądają okropnie. Mają kilka blizn, ale są inteligentni i ogólnie lubiani. Po prostu bawi ich życie na krawędzi ryzyka.

- Ryzyka? Czy to dotyczy również ciebie? - Spojrzała na niego przełomie.

- Bree, oczekiwałem więcej zrozumienia z twojej strony. Moi pracownicy są wyjątkowymi ludźmi. I nie obawiam się przyznać, że praca gońca i mnie niegdyś bawiła. - Sam nerwowo odgarnął włosy z czoła.

Zapanowała cisza. Bree siedziała sztywno. Na jej twarzy malowały się irytacja i zaciętość.

Wreszcie Sam wyciągnął rękę i pogłaskał Bree po policzku. Zmusił ją, żeby spojrzała na niego.

- Codzienna konfrontacja ze śmiercią jest jak narkotyk, który w pewnym momencie zaczyna nad tobą dominować. Później z każdą chwilą jest trudniej odnaleźć granicę przyzwoitości. I to właśnie mnie przeraża.

Bree przypomniała sobie chwile, które spędzili u niej w domu. Przytuliła się do Leonga i uśmiechnęła załomie.

- Bree - ciągnął dalej - przepraszam za moje zachowanie. Myślałem trochę nad tym. To oczywiste, że swoim lekkomyślnym postępowaniem dawałem zły przykład moim pracownikom. Spróbuję to zmienić. Zawsze

staralem się przestrzegać reguł bezpieczeństwa, ale moja reputacja - to znaczy rzeczy, które robiłem dla rozrywki - przyciągały do mnie najszybszych jeźdźców. I ja ich zatrudniałem. - Nawet kiedy pokornie usprawiedliwiał się, emanowała z niego podniecająca męskość - Powinienem cię uprzedzić, że przyprowadzę moich ludzi. Przepraszam.

- Przyjmuję twoje przeprosiny. Kto wie, może postąpiłeś właściwie, chociaż z pewnością trochę niekonwencjonalnie. - Porozumiewawczo ścisnęła jego dłoń. Jej złość powoli mijała. - Możliwe, iż przyprowadzeni przez ciebie rowerzyści zadziałali jako przynęta. Odwrócili przynajmniej uwagę dziennikarzy od twojego „alpinistycznego” wyczynu. Zauważyłeś, że żaden reporter nie zapytał o tę historię?

Rozdział szósty

- Dlaczego nie przymierzysz tej? - Cynthia Goodman zdjęła z wieszaka czerwoną, atlasową sukienkę i podała Bree. - Czerwony to jeden z twoich ulubionych kolorów, a poza tym ta sukienka jest taka kobieca i taka seksowna.

Bree spojrzała na głęboko wycięty dekolt. Może Cynthia ma rację. Może tak podniecający strój skłoni Sama Leonga do zaprzestania rozmów o „zwolnionym tempie” i wreszcie zachęci go do działania.

Minęły dwa tygodnie od czasu przejażdżki na rowerze gemini. Od tej pory Sam uparcie unikał wszelkich sytuacji, które mogłyby doprowadzić do zbliżenia.

Bree zaczęła przypuszczać, że Sam źle ją zrozumiał. Była już gotowa na „ostateczne przyspieszenie”, a ten mężczyzna doprowadzał ją do szaleństwa swoim purytańskim sposobem zdobywania jej względów.

Widywali się często. Chodzili na spacer do pobliskiego parku, jadal wspólnie posiłki. Niekiedy spędzali popołudnia na łodzi.

Pewnego dnia Sam zaprosił ją do siebie. Mieszkał w niedużym budynku położonym nad wodą. Wnętrze domu zaprojektowała i urządziła dobra znajoma Sama. Umeblowanie i wyposażenie mieszkania pasowały idealnie do Sama Leonga. Śmiałego, żadnego przygód ryzykanta. W tym domu nie było natomiast żadnych oznak czy też śladów świadczących o delikatności, wrażliwości czy poczuciu humoru właściciela. Chociaż w rzeczywistości te cechy stanowiły drugie, skrzętnie skrywane oblicze Sama, które Bree zdążyła już poznać.

Niepokoilo ją, dlaczego mężczyzna nie reagował na jej sygnały świadczące o gotowości do zbliżenia. Czyżby ich nie dostrzegał? A może to ona była wszystkiemu winna?

Zwierzyła się z tego problemu Cynthii, swej najbliższej przyjaciółce. Ta natychmiast zaprowadziła Bree do ekskluzywnego sklepu z odzieżą.

- Musisz się zacząć inaczej ubierać - stwierdziła Cynthia.

Bree wybrała kilka sukienek i przeszła do przebieralni. Śmieszyło ją trochę zakładanie prawie nieprzyzwoitych fatalasek. Ani jedwabna koszula z rozcięciami po bokach, ani krótka, bardzo obcisła sukienka bez pleców, ani bluzka z czarnej, bogato zdobionej koronkami tafty nie wydawały jej się odpowiednie. Wszystkie te stroje były zbyt pretensjonalne.

W końcu założyła czerwoną sukienkę z lśniącego atłasu, doskonale podkreślającą jej kobiece kształty. Bree wyglądała w niej kusząco i pociągająco, jednak czuła się nieswojo. Nigdy przedtem nie praktykowała tego rodzaju sztuczek, by zwrócić na siebie uwagę. Mimo wszystko zdecydowała, że kupi czerwoną sukienkę, którą poleciła jej przyjaciółka.

- Myślę, że ta będzie dobra - powiedziała do Cynthii, wychodząc z przymierzami.

Cynthia spojrzała krytycznie i stwierdziła z zadowoleniem:

- Jest naprawdę piękna! Podkreśla twoją figurę. No i ten dekolt...

Bree zastanawiała się, czy kiedykolwiek będzie miała tyle odwagi, by założyć tę suknię.

- Ten dekolt sprawi, że rozmowa okaże się zbędna - ciągnęła Cynthia. - Niemożliwe, by Sam nadal pozostał obojętny na twoje wdzięki. To jest twoja szansa, Bree!

- Czy często urządzasz podobne eskapady? - Bree odwróciła się i spojrzała na karawanę samochodów jadących za nimi.

- Wyprawy do wesołego miasteczka? Czasami dwa razy do roku. Dzieciaki to uwielbiają. Ale, jeżeli rodzina się powiększy, będę musiał kupić autobus -rzekł ze śmiechem.

Bree miała nadzieję, że spotkają się w mieście, co pozwoliłoby jej założyć nową sukienkę.

Jednakże on zaprosił ją, by wzięła udział w rodzinnej wyprawie do wesołego miasteczka na wybrzeżu.

Kiedy spotkała całą rodzinę na parkingu, zaczęła podejrzewać, że Sam zaproponował jej udział w eskapadzie, gdyż potrzebował bezpłatnej opiekunki do dzieci. Było ich ponad dwadzieścioro w różnym wieku.

Gdy przyjechali na miejsce, dorośli członkowie wycieczki zaopiekowali się dziećmi, zostawiając Sama i Bree samym sobie. Dziewczyna była trochę rozczarowana. Kochała dzieci i już prawie знаła wszystkie po imieniu.

- Zobaczymy ich później - wyjaśnił Sam, obejmując ją. - Pomyślałem, że najpierw osobiście sprawdzimy te wszystkie zabawki. Co powiesz na kolejkę na początek? Jeździ po potrójnej pętli. Sądzę, że możemy zrobić dziesięć rundek.

Bree spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Dziesięć rund?!

- No, może trochę przesadziłem. Ale nie tak bardzo. - Musnął wargami jej usta. - Bree, wiesz jakie to uczucie, kiedy kolejka jest na samym szczycie i nagle rozpoczyna zapierający dech w piersi zjazd, a ty

przestajesz panować nad swymi reakcjami i zaczynasz krzyczeć automatycznie?

- Hmm, tak - odpowiedziała cicho.

- Przez ostatnie dwa tygodnie jeździłem powoli, chodziłem powoli i starałem zachowywać się bezpiecznie przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Wszystko po to, by nie zaszkodzić kampanii i żeby zbyt szybko nie wymuszać na tobie jakichkolwiek deklaracji zobowiązujących do poważnego związku.

Sam dostrzegł na twarzy Bree wyraz zażenowania i niepewności. Co chwila ktoś ich potrącał, a jego słowa zagłuszał panujący wokół gwar. Sam jednak nie zwracał uwagi na innych ludzi.

- Bree, wiem, że to miejsce nie jest najodpowiedniejsze na takie rozmowy, ale nie chcę już dłużej czekać, pragnę być wobec ciebie uczciwy i szczery. Do tej pory faworyzowałem kobiety, które podobnie jak ja uwielbiały przygody i szybki styl życia. A teraz, kiedy poznałem ciebie, uświadomiłem sobie, że wszystkie moje dotychczasowe towarzyszkę, tak chętne do przeżywania przygód, nie były zdolne do podejmowania jakichkolwiek zobowiązań. Szukały tylko coraz to nowych wrażeń i... mężczyzn, którzy potrafili dostarczać im rozrywek.

Bree zastanawiała się, czy Sam myśli, że ona należy do kobiet, które wolą jazdę na karuzeli zamiast prawdziwej przygody.

- Sam, co ty próbujesz mi przekazać?

- Zaczynam dostawać szału, balansując pomiędzy obietnicą, że zmienię mój dotychczasowy ryzykowny tryb życia i przyrzeczeniem, że zdobędę cię powoli.

- J-ja.. - jąkała Bree. Pomyślała o czerwonej sukience.

- Dzisiaj szybka, zwariowana jazda tą kolejką pozwoli mi rozładować niezdrową energię i emocje. Zgromadziły się w moim wnętrzu przez ostatnie dni na skutek tego, że postępowałem trochę wbrew swej naturze i swemu usposobieniu. Teraz nie chcę słyszeć o kampanii, firmie, burmistrzu czy o telewizji. W tej chwili pragnę siedzieć blisko ciebie, obejmować się i wraz z tobą przeżywać ekscytujące chwile.

Czy Sam próbował jej uświadomić, że ta zwariowana eskapada ma zastąpić mu seks? Bree nie potrafiła zrozumieć motywacji jego postępowania. Nie miała czasu zastanowić się nad słowami mężczyzny, gdyż musieli zająć swoje miejsca.

Ale wyobraziła sobie przyszłość z Samem - wspólne wyprawy pomalowanym w paski rowerem i wyładowywanie swojej frustracji w wesołym miasteczku, a także ciągłą rywalizację z żądnymi przygód kobietami z przeszłości tego mężczyzny. Nie! Koniecznie należy wyjaśnić tę absurdalną sytuację. Musi natychmiast wyznać mu prawdę.

Młody pracownik wesołego miasteczka zabezpieczył ich w ostatnim wagoniku.

- Jeśli sądzisz, że potrafię potraktować tę szaloną eskapadę jako środek zastępujący seks... - krzyknęła Bree.

- Środek zastępujący? - powtórzył Sam z niedowierzaniem. - Nic nie mogłoby... Bree, zrozum, że nie w tym celu cię tutaj przywiozłem...

Trzymaj się! - Wagonik właśnie ruszył.

Bree kurczowo chwyciła poręcz zabezpieczającą.

- Czy sądziłeś, że nie jestem tobą zainteresowana? - Przekrzykiwała panujący wokół hałas.

- Wiedziałem, że ci się podobam. Czuję to, ale miałem wrażenie, że odstrasza cię szybkie samochody, łódzie i sposób, w jaki usiłowałem okazać swoje uczuuuuuuucia! - Wagonik gwałtownie zjechał z dużego wzniesienia. - Zdecydowałem więc, że podbiję twoje serce powoli - wyjaśnił, prawie krzyżąc.

Bree zaczynała teraz rozumieć te śmieszne wyprawy rowerem, dryfowanie łodzią na środku jeziora oraz romantyczne spacerunki do parku. Pojmowała już przyczynę zmiany, jaka zaszła w Samie przez ostatnie dwa tygodnie.

Wagonik zaczął przyspieszać.

- Sam! Od początku źle odebrałaś to, co mówiłam... Ach... ! - krzyknęła, kiedy kolejka wjechała na drugą pętlę. - Chcę spędzać z tobą więcej czasu, chcę cieeeeeeee-och-bie!

Sam spojrzał zdziwiony.

- Co powiedziałaś przed chwilą?! - zawołał.

Jej słowa zagłuszył zgrzyt zatrzymujących się wagoników.

Kiedy tylko wysiedli z kolejki, podeszła do nich szwagierka Sama - Catherine.

- Przepraszam, że zawracam ci głowę, ale Mimi jest nieznośna i nie chce bez ciebie na niczym jeździć - rzekła poirytowana. - Klóci się z innymi dziećmi.

- Dobrze, porozmawiam z nią. - Sam przykucnął.

- Mimi, podejdź tutaj - poprosił łagodnie.

Mała dziewczynka z warkoczykami stanęła przed Samem. Leong mówił do niej raz po chińsku, raz po angielsku. Dziewczynka opuściła główkę i zrobiła żalostną minkę, ale uparcie powtarzała, że bez wujka nie

chce na niczym jeździć. Prośby Sama nie odniosły żadnego skutku. W końcu zrezygnowany spojrzął na Bree.

- Przepraszam. Do naszego towarzystwa dołączy się jeszcze jedna, mała osoba.

- Sam rozpieszcza wszystkie dzieci. Ma naprawdę miękkie serce - powiedziała Catherine ze śmiechem, spoglądając na Bree. - Jednak Mimi to szczególny przypadek. Sam nigdy nie przyprowadzał kobiet do wesołego miasteczka ani na spotkania rodzinne i Mimi z pewnością jest trochę zazdrosna. Ale nie martw się, reszta dzieci już cię uwielbia.

Sam i Catherine ustalili, że cała grupa spotka się w pobliżu karuzeli, żeby wspólnie pójść na lunch.

- Może Mimi do tego czasu zmieni... - Nie dokończył zdania, ponieważ dziewczynka zasłoniła mu dłonią usta. Pochwycił małą rączkę i spojrzął na Mimi surowo. - Miejmy nadzieję, że zechce spędzić resztę dnia z innymi dziećmi - rzekł do Bree.

- Powodzenia - powiedziała Catherine i odeszła pospiesznie.

Reszta ranka upłynęła na spełnianiu życzeń małej Mimi.

Sam od czasu do czasu spoglądał tęsknym wzrokiem na Bree. Szukał okazji, żeby zapytać ją o to, co powiedziała, gdy znajdowała się w wagoniku.

Ale mała zazdrośnica nalegała, by siedzieć między nimi. W ten sposób dziewczynka zabezpieczyła swoje terytorium, aby Bree nie mogła na nie wkroczyć.

- Bree, Mimi chce ze mną wracać do San Francisco - zakomunikował Sam, kiedy schodzili z karuzeli.

- Ale w twoim wozie są tylko dwa siedzenia. Będę musiała trzymać ją...

- Ona zastanawia się, czy nie mogłabyś jechać z Catherine. - Sam wzruszył ramionami. - Jak wytłumaczysz stosunki męsko-damskie przedszkolakowi?

- Powinieneś jej dać do zrozumienia, że jesteś starszy i że do ciebie należy ostatnie słowo. Czy rodzice nie mogą wychowywać jej w większej dyscyplinie?

- Matka i starsza siostra Mimi wróciły do Hong-Kongu, żeby zaopiekować się chorą ciotką. Ojciec dziewczynki pracuje na dwóch stanowiskach i nie ma dla niej czasu. Przez ostatni rok zajmowały się nią ciotki, które mają wystarczająco dużo własnych problemów. Wyprawiłem Mimi urodziny, przez to były one trochę mniej samotne niż zwykle, a ona o tym nie zapomniała.

- Tak, to czasami więcej niż prezent - powiedziała Bree, z sympatią spoglądając na dziewczynkę. - Wrócę do miasta z Catherine i dziećmiakami.

- Bree, dziękuję za wyrozumiałość. - Sam uśmiechnął się do niej.

- No cóż, dzieci instynktownie ciągną do kochających je ludzi.

Dlatego też wybrałam cię na mistrza ceremonii sobotniej imprezy w następnym tygodniu.

- Mnie? - zapytał zaskoczony. - Przecież to ty jesteś dyrektorem kampanii.

- Poprowadzę kurs bezpieczeństwa na drodze w innym rejonie parku.

- Bree właśnie uświadomiła sobie, że przez cały tydzień będzie zajęta przygotowaniem do zaplanowanej imprezy. Podróż powrotna do San

Francisco mogła stanowić jedyną szansę, żeby dokończyć rozpoczętą w wagoniku rozmowę.

Sam uniósł brwi.

- Czy to nie ty wymawiałaś mi to, że przyprowadziłem na konferencję prasową moich posłańców? Jak to będzie wyglądało - Sam Leong jako mistrz ceremonii? A jeśli chodzi o zainteresowanie prasy moim ostatnim, „alpinistycznym” wyczynem?

- Nie martw się o to. Nikt cię nie rozpozna, Lwie Serce.

- Co masz na myśli?

- Chyba musiałeś zasnąć na ostatnim zebraniu. Mistrz będzie przebrany w kostium lwa.

- Dlaczego nie zaprosiłeś Bree na rodzinny obiad? - zapytała Catherine.

Sam właśnie stał na drabinie i wymieniał żarówkę w kuchni w domu swoich rodziców. Spojrzał zaskoczony na szwagierkę i uniósł palec do ust, pokazując, by Catherine nie mówiła nic więcej.

- Dlaczego wszystko trzymasz w sekrecie? - zapytała dziewczyna, wyjmując czyste talerze ze zmywarki. - Przecież to oczywiste, że najmłodszy brat Leongów jest trochę zadurzony...

- Nie tak głośno. - Sam zszedł z drabiny. - Nie wiem, jak rodzina zareaguje na pewne fakty dotyczące Bree.

- Co za fakty? - Grace i Sandra, dwie pozostałe szwagierki, weszły do kuchni.

- Dlaczego nie pójdziesz do holu i nie zawiadomisz pozostałych domowników o wszystkim - rzekł poirytowany do Catherine. - W tej

rodzinie prywatność zawsze stanowiła problem. Wszyscy chcą zawsze wiedzieć o moich romansach...

- Więc masz romans z tą kobietą! - wykrzyknęła Grace. Zwróciła się do Sandry, która wkładała czyste szklanki do szafki. - Jak myślisz, w którym holu powinniśmy to ogłosić?

- Bardzo zabawne. Uciszcie się wreszcie - szepnął Sam. Lubił wszystkie trzy żony swych braci. Były życzliwe i czuł się naprawdę dobrze w ich towarzystwie. Catherine, Grace i Sandra mówiły płynnie po kantońsku. Wychowywały się co prawda w San Francisco, ale były świadome, do jakiej społeczności należą i znały tradycje. Zupełnie inaczej niż Bree, którą wychowano w innych warunkach. Czy ona znalazłaby swoje miejsce w jego rodzinnym domu?

- To, co słyszałem przez ostatnich parę lat, to: „Znajdź sobie miłą dziewczynę i usatkuj się w końcu”. - Sam złożył drabinę i zaniósł ją do schowka.

- Samson, masz dwadzieścia osiem lat i przyzwyczajasz się do swojej wolności i niezależności. Wszystkich nas niepokoi twoja przyszłość! A teraz powiedz nam, co ta Dree robi - zagadnęła Sandra.

- Bree - poprawił. - Bree Jeffries. Jest właścicielką Softpedalers Incorporated, firmy usługowej podobnej do naszej, która prosperuje ostatnio bardzo dobrze.

- I jakie fakty chcesz przed nami ukryć? - zapytała Grace, zestawiając rondel z kuchenki i wstawiając go do zlewu.

Sam musiał odeprzeć atak trzech kobiet.

- Przypuszczam, że wasza ciekawość nie zostanie zaspokojona, dopóki nie powiem wam wszystkich szczegółów.

- Nie musisz niczego ujawniać - odparła Catherine z uśmiechem. - Bree wracała ze mną z wesołego miasteczka i opowiedziała mi trochę o sobie. Ma dwadzieścia pięć lat, kocha dzieci, ma powodzenie w interesach...

- W czasie lunchu sprawiała wrażenie trochę zakłopotanej - przerwała Grace. - Z pewnością dlatego, że wszyscy zajmowaliśmy się dziećmi, a ona jeszcze nie przywykła do naszej gromadki. Uważam, że ta kobieta jest piękna. Sam, czy to poważny związek?

- Jak zauważyliście, nie mówi po chińsku. - Sam opowiedział o adopcji Bree i jej przynależności do drużyny olimpijskiej.

- Czy obawiasz się, że będą problemy z językiem? - spytała zdumiona Catherine. - Bree jest bardzo sympatyczna. Na pewno szybko się dostosuje.

- Myślę o rodzicach - wyjaśnił. - Bardzo im na tym zależy, żeby ich wnuki rozumiały i szanowały kulturę. Bree jest Euroazjatką.

- Mnie nie obchodzi, czy ona jest w niebieskie czy zielone paski. - Sandra zamknęła drzwiczki zmywarki. - Ma na ciebie pozytywny wpływ - stwierdziła.

- Co masz na myśli? - zapytał Sam, nalewając sobie kawy do filiżanki.

- Nie zdenerwowałeś się przez cały dzień - zauważyła Grace. - Nie siedzisz ze swoimi braćmi w jadalni i nie dyskutujesz z nimi o papierach wartościowych czy też o złotej przyszłości. A to jest bardzo dobry znak. - Catherine wzięła gąbkę i zaczęła zmywać blat kredensu. - Powiedziałabym, że dojrzewasz...

- Dojrzewam? - Sam spojrział z niedowierzaniem.

- A niech to cholera! - Potracił filiżankę i wylał kawę na podłogę. -
Dojrzewam to brzmi tak, jakbym dotychczas nic nie robił...

Wytrzeł ręcznikiem swoją dłoń. - Dlaczego wszyscy myślą, że to takie cudowne, jeśli mężczyzna się zmienia, żeby zadowolić kobietę! Nie zamierzam zostać mnichem. Jestem już zmęczony ciągłymi pouczeniami rodziny. Jeśli moja rodzina lub ktokolwiek inny nie może mnie zaakceptować takim, jakim naprawdę jestem...

- S-sam... Ja tylko powiedziałam... - Catherine zająknęła się i spojrzała na pozostałe kobiety.

- O co ta cała wrzawa? - Z pokoju jadalnego dobiegł męski głos.

- O Boże - jęknął Sam na widok wchodzącego do kuchni brata, Nelsona. Catherine zaczęła streszczać swojemu mężowi całą rozmowę, a w tym czasie nadeszli Peter i Benjamin. Bracia Sama byli znacznie starsi od niego i w różnego rodzaju konfliktach zawsze brali jego stronę. Nie dbał o to, czy wezmą udział w obecnej wymianie zdań, czy też nie.

Wszyscy trzej nie bardzo wiedzieli, o co chodzi. Nalali sobie do filiżanek kawy i zaczęli przysłuchiwać się rozmowie.

- Czy Bree Jeffries próbuje ci narzucać cokolwiek? - Współczującym głosem zapytała Grace.

Sam wziął gąbkę od Catherine i zaczął ścierać kawę, którą przed chwilą rozlał.

- Nie. Tylko na początku miałem problemy. Więc opamiętałem się, żeby wyrzucić na niej korzystne wrażenie. A teraz nie wiem, co mam zrobić. Zdradzić jej, jaki naprawdę jestem, czy grać dalej.

Sam spojrział na kilku wchodzących do kuchni kuzynów i grupkę małych dzieci. W całym domu było czternaście pokoi, ale jego krewni zawsze wiedzieli, gdzie prowadzono najciekawsze rozmowy.

- Jeśli mogę wyrazić swoją opinię - powiedziała Sandra - uważam, że to nieuczciwie robić z siebie skromnego, prawego człowieka, a potem, kiedy podejmie się wobec drugiej osoby zobowiązania, odkryć swoje prawdziwe oblicze.

- Normalnie doradzałbym, żeby wyłożyć wszystkie karty na stół, ale w twoim przypadku, Sam, zostawiłbym parę ukrytych w rękawie - odezwał się Peter.

- Hmm, może kilka - dodał Ben grubym głosem.

- Amen! - westchnął Nelson.

Dwie godziny później starsi Leongowie wspominali czasy, kiedy sami podrywali swoje żony. Opowiadania co chwilę przerywały wybuchy śmiechu.

Sam skorzystał z okazji i zaczął rozpytywać się o ochotników na sobotnią imprezę. Wywołało to dyskusję na temat kampanii.

Sam spojrział na swoich rodziców, którzy siedzieli za stołem w jadalni. Oboje byli uśmiechnięci, kiedy, mówił o Bree; z aprobatą kiwali głowami. Wszyscy dookoła twierdzili, że się zmienił. Czy naprawdę aż tak bardzo? Nigdy przedtem tak szczerze nie rozmawiał o swoim życiu osobistym.

Jego wynurzenia wywołały wspomnienia u jego braci. Opowiadali własne doświadczenia ze swoich kawalerskich czasów. Sam poczuł nagłą więź z Benem, Nelsonem i Peterem. Czterej chłopcy byli wychowywani w atmosferze rywalizacji, współzawodniczyli ze sobą o wszystko - żeby być

najlepszym synem, najlepszym studentem, najlepszym sportowcem. Sport dla Sama stanowił pewnego rodzaju ucieczkę przed rygorami, jakie narzucał im ojciec, wierzący w słuszność „starych metod wychowywania dzieci”. Bieganie, pływanie czy wspinaczka pozwalały mu się naprawdę wyżyć. Uwielbiał intensywne życie, pełne wrażeń.

Catherine poczęstowała go ciastkiem wypełnionym kremem lotosowym. Przypomnił sobie znajomy smak, a także radość dzielenia się uczuciami z ludźmi, którzy go kochali. A może rzeczywiście cieszyły ich zmiany, jakie w nim zaszły, od kiedy spotkał Bree?

RS

Rozdział siódmy

- Jak zasygnalizujecie, że zamierzacie skręcić w lewo? - zapytał Hunka-Hunka słuchających go z uwagą dziewięcio- i dziesięcioletnich dzieci. - A jeśli macie zamiar skręcić w prawo? Świetnie, chłopaki. Myślę, że jesteście gotowi, żeby przejechać przez naszą ścieżkę rowerową. No to w drogę!

Dzieci ochoczo ruszyły za swoim instruktorem.

Bree spoglądała na rozradowane, szczęśliwe twarze maluchów. Dzień był wspaniały. Pogoda dopisała -świeciło słońce, a chwilami wiał orzeźwiający, przyjemny wietrzyk. Do pomocy w organizacji całej imprezy zgłosiło się wielu chętnych, co bardzo zaskoczyło Bree. Zauważyła wśród nich członków rodziny Sama. Dla kampanii pracowali również jej przyjaciele i ludzie z biura burmistrza. Wszyscy ochotnicy nosili niebieskie czapki.

Rowerzyści, którzy reprezentowali firmy kurierskie, zostali przygotowani do prowadzenia lekcji bezpiecznego zachowania na drodze dla dzieci. Oprócz tego firmy zaoferowały usługi swoich mechaników, którzy bezpłatnie naprawiali zepsute hamulce i inne uszkodzenia rowerów. Hojni handlowcy podarowali dzieciom z ubogich rodzin trzysta rowerów. Dzieci te zostały wybrane przez opiekę społeczną. W parku ustawiono również stragany, na których można było zakupić części do rowerów. Oprócz tego przygotowano dla najmłodszych wiele interesujących konkursów. W nagrodę otrzymywały słodycze.

Bree pragnęła, by wszyscy byli zadowoleni. Przygotowanie całego przedsięwzięcia pochłonęło wiele czasu i energii organizatorów. Na razie wszystko szło dobrze, więc trud nie poszedł na marne.

Przez cały tydzień Bree miała mnóstwo pracy. Musiała przygotować gońców do roli instruktorów, którzy potrafiliby poprowadzić lekcje o bezpieczeństwie na drodze. Musiała też informować o całym wydarzeniu lokalną prasę, która była zainteresowana wszystkim, co miało się dzieć w parku Golden Gate. Bree nie widziała Sama od soboty, od czasu wyprawy do wesołego miasteczka.

Wiedziała, że również jest zajęty. Podjął się dostarczenia do parku rowerów i zestawienia listy dzieci, które miały je otrzymać. Któregoś popołudnia Bree dostała od Sama krótki liścik.

„Musimy porozmawiać. Co powiesz na uroczystą kolację w moim domu, po zakończeniu imprezy w sobotę? Odpowiedź prześlij przez kuriera lub przez gołębia pocztowego. Wybierz jakiegokolwiek gołębia. Zdaje się, że wszystkie siadają na moim dachu. Sam. ”

Oczywiście odpowiedź Bree odesłała przez gońca. Jednego ze swoich najlepszych - nazywał się Stool Pigeon*.

** Stool pigeon - (ang.) gołąb przynęta*

Bree rozglądała się dookoła w nadziei, że zauważy gdzieś Lwie Serce. Nagle ktoś zdjął jej z głowy niebieską czapkę i położył rękę na ramieniu. Dziewczyna szybko odwróciła się, by sprawdzić, kto płata jej takie figle. Dostrzegła postać w zabawnym kostiumie lwa i roześmiała się.

- Czy wyglądam idiotycznie? - zapytał Sam poważnym głosem.

- Nie, wyglądasz... jakbyś miał za chwilę mnie zabić - zażartowała. -
Dzieci cię uwielbiają.

- Nic dziwnego. Rozdałem chyba z tysiąc rowerów. Ochotnicy
właśnie uczą ich jeździć. Niektóre dzieci są tak szczęśliwe, że mają łzy w
oczach. A jak twoje lekcje?

- Bardzo dobrze. Tylko rano miałam klasę, w której znalazł się
niesforny uczeń o imieniu Ronald. Nazwał siebie Postrachem Szos.
Powiedział, że kiedy dorośnie, zamierza jeździć po piracku tak jak jego
ojciec i już teraz postanowił stworzyć swój własny gang motocyklowy.
Chciał wiedzieć, czy będziemy rozdawać motory, kiedy on skończy
szesnaście lat! Był niegrzeczny i uparty. A poza tym przeklinał.

- Hmm. Pewnie wpadłaś mu w oko i chciał, abyś poświęciła mu całą
swoją uwagę. - Sam roześmiał się i objął ją.

- Postrach Szos to chyba jedyne dziecko, z którym miałam same
utrapienia. - Bree westchnęła. - Mam nadzieję, że chociaż nauczył się
czegoś.

- Rozdajemy nowe rowery, naprawiamy stare, uczymy
bezpieczeństwa na jezdni. Bree, nie możemy zadowolić wszystkich.

- Wiem - odrzekła i wysunęła się z jego objęć, ponieważ właśnie
nadchodziła grupa dzieci, które chciały podziękować Samowi za rowery.
Kiedy dzieci odeszły, powróciła do rozmowy.

- To przebranie to był dobry pomysł! Wszyscy cię uwielbiają i
powtarzają twoje słowa, że rower jest przyjacielem i że trzeba dbać o
przyjaciół.

- Czy myślisz czasami o rowerach, które zniszczyliśmy przy naszym
pierwszym spotkaniu? - Sam zachichotał i znów otoczył ją ramionami.

- Panie Lwie Serce - szepnęła Bree. - Tu są obecne dzieci. Myślę, że powinien pan trzymać swoje łapy z dala ode mnie przynajmniej przy dzieciach.

- Przepraszam - mruknął i pomachał komicznie swym ogonem. - Myślę, że trwa sezon polowań na gazele.

- Jeszcze nie. - Bree zaczęła odchodzić. - Sezon zacznie się dopiero... po kolacji wieczorem - szepnęła tajemniczo i zniknęła w tłumie.

Kiedy Bree przechodziła koło drewnianego podium, które zostało zbudowane na otwarcie sobotniej imprezy, dostrzegła coś, co zaparło jej dech w piersi. Ronald jeździł na swym rowerze po trybunie i przywoływał inne dzieci, żeby podeszły bliżej.

- Nie wierzycie mi, co? - Ronald zwrócił się do dzieci stojących blisko drewnianej konstrukcji. - No to patrzcie!

Zanim Bree zdążyła powiedzieć cokolwiek, Ronald stracił panowanie nad swym pojazdem.

- O, mój Boże! - szepnęła Bree, kiedy ciało malca przeleciało nad kierownicą i wylądowało na trawie.

- Nie ruszaj się ! - krzyknęła i podbiegła do leżącego na ziemi chłopca. Był przytomny i czujny, ale nie wykonał żadnego ruchu.

Patrzył na nią z zaciętością.

- Nic mi nie jest. Nie dotykaj mnie! Nie potrzebuje nikogo!

Ignorując ostre słowa dziewięciolatka, Bree sprawdziła, czy nic mu się nie stało. Nic nie dostrzegła oprócz posiniaczonego podbródka i zadrapanego policzka.

- Mój stary złamał nogę trzy razy - wycedził Ronald przez zaciśnięte zęby i wstał. Otrzepał swoje dżinsowe spodnie. - Ja też jestem twardy i wytrzymały jak on.

Bree spojrzała na niego badawczo. Nic dziwnego, że nazwał siebie Postrachem Szos. Dobrze udawał twardziela i potrafił ukryć swój ból.

Po surowej reprimendzie, jakiej mu udzieliła, wyciągnęła swoją dłoń.

- Chcę, żebyś oddał wszystkie odznaki, które dzisiaj zdobyłeś. Po prostu nie zasługujesz na nie.

- Nie możesz tego zrobić!

- Mogę, ponieważ tak naprawdę nie słuchałeś lekcji. Oddaj je, Ronald.

Chłopiec sięgnął do kieszeni.

- Nienawidzę tego głupiego programu bezpieczeństwa! - krzyknął ze złością. - Mój rower jest połamany!

- Chcesz się potargować? - Bree patrzyła na odznaki.

- To zależy.

- Potrzebujemy ochotników do posprzątania śmieci, które wszyscy po sobie zostawili. Jeśli chcesz zatrzymać swój rower, bierz worek i zbieraj odpadki. Możliwe, iż kiedy skończysz, twój rower będzie wyglądał jak nowy.

Nastąpiło krótkie milczenie. Ronald spojrzał na Bree.

- Czy ktoś naprawi mój rower? Bree przytaknęła.

- Dobrze, posprzątam. - Ronald podniósł rower i zaczął przyglądać się skrzywionym kołom. - A co z moimi odznakami?

- Dam ci szansę, byś mógł zdobyć je ponownie.

- Czy będę mógł przyjść znowu na wasze lekcje? -Ronald szedł za Bree w kierunku jednego ze stanowisk, gdzie naprawiano uszkodzone rowery.

- Możliwe. Latem również zamierzamy zorganizować podobne kursy.

Bree podeszła do Douga, mechanika z Softpedalers i wyjaśniła mu całą sytuację.

- Właśnie złożyłem wszystkie moje narzędzia -powiedział, oglądając uszkodzenia, potem spojrział na chłopca. - Ale sądzę, że potrafię ci pomóc - rzekł do malca.

- Czy mógłby pan pomalować go na czarno? Taki kolor ma harley mojego starego - wyjaśnił Ronald, widząc zdziwioną minę mechanika.

Bree położyła rękę na ramieniu chłopca i pchnęła go w stronę centralnego stanowiska.

- Nie lekceważ swojego szczęścia, Ronald - ostrzegła. - Idziemy znaleźć te torby na śmieci, zanim wpadniesz w kolejne kłopoty.

Kiedy maszerowali do dużego namiotu, Bree wygłosiła krótki wykład na temat niebezpieczeństw, jakie pociąga za sobą podejmowanie ryzyka.

Odchyliła połę namiotu i weszła z chłopcem do środka. Kiedy spostrzegła, co się dzieje wewnątrz, przeklęła cicho pod nosem. Sam, już bez przebrania lwa, stał na rękach na jadącym rowerze. Tuż obok, na stercie skrzynek siedział rozbawiony burmistrz i obserwował popisy Leonga.

Sam zrobił obrót i skończył swój zaimprovizowany występ. Przytrzymując rower, zeskoczył na ziemię.

- Ronald, tutaj są worki na śmieci. Możesz już zacząć zbierać odpadki! Pospiesz się! - rzekła poirytowana Bree.

W tym momencie Sam dostrzegł stojącą przy wejściu dziewczynę i małego chłopca.

- Bree! - wykrzyknął zaskoczony.

- To się nazywa opanowanie! - Malec zignorował plastikowe worki, które podała mu Bree, i ruszył w stronę Sama. - Czy możesz mnie tego nauczyć, mistrzu? Mój stary umie robić obroty...

- Ronald... - rzekła Bree ostrzegawczo. Sam napotkał wzrok dziewczyny i wiedział, że to ostrzeżenie dotyczy również jego.

- A więc to ty jesteś Ronald. - Sam usiadł na jednej z ławek. - Wiesz, muszę ci coś wyjaśnić...

- Czyżby... ? - mruknęła Bree.

- Ronald... - Sam przeczesywał włosy. - Nigdy nie próbuj robić tego, co ja robiłem przed chwilą. To jest bardzo niebezpieczne i zabrało mi lata, żeby się tego nauczyć.

- A gdzie można się tego nauczyć? - nalegał Ronald.

- Hmm, bardzo daleko stąd - odrzekł Sam.

- Ale gdzie? - Ronald nie ustępował.

- W cyrku... w Detroit. - Leong powiedział pierwszą rzecz, jaka mu przyszła do głowy. - I wiesz, życie w cyrku jest bardzo smutne i samotne... A my, cyrkowe dzieci, cóż, zawsze nosiliśmy zabezpieczenie. Ty z pewnością nie masz takiego, więc nie próbuj żadnych głupich sztuczek. Teraz lepiej idź i pozbieraj śmieci, jak powiedziała pani Jeffries.

Ronald wyszedł marudząc. W ręce trzymał worki na odpadki. Burmistrz roześmiał się i pogratulował Samowi i Bree dobrze przygotowanej imprezy. Po chwili wyszedł, zostawiając ich samych.

- „Rower jest twoim przyjacielem”. - Bree powtórzyła słowa z przemowy Sama skierowanej do dzieci.

- „Troszczcie się o swoich przyjaciół, chłopcy i dziewczęta” - ciągnęła z kpiącym uśmiechem.

- Bree, stawałem na jadącym rowerze, od kiedy skończyłem dwanaście lat. - Sam tłumaczył najspokojniej, jak tylko potrafił.

- Skąd wytrzasnąłeś tę historię o cyrku w Detroit? Dzieci nie są takie głupie w dzisiejszych czasach. Ronald prawdopodobnie zrobi sobie prowizoryczne zabezpieczenie, a potem złamie kark.

- Nie przypuszczałem, że przyprowadzisz dziecko do namiotu. To jest teren przeznaczony dla dorosłych! - wykrzyknął poirytowany.

- Teren dla dorosłych! - roześmiała się ponuro. - Nie kpij ze mnie. - Zaczęła nerwowo spacerować po namiocie. - Nie mogę w to uwierzyć, że burmistrz, który przyczynił się do zorganizowania kampanii, zachęcił cię do takiego zachowania!

- Jakiego zachowania?! Tylko mi nie mów, że nie próbowałaś akrobacji na rowerze. Znając twoją porywczosć, nigdy w to nie uwierzę!

- Co ty masz na myśli?

- Olimpiadę, a potem twoje tournee.

- Czyżbym odkryła, że jesteś trochę zazdrosny?

- Do diabła, nie. Przecież rozumiem, że nie każdy może wystartować na olimpiadzie.

- Jesteś zazdrosny. Chciałeś współzawodniczyć na międzynarodowym poziomie.

- Ja jestem zazdrosny? - Sam podszedł do Bree. - To ty jesteś zazdrosna, ponieważ nie potrafisz stać na rękach na jadącym rowerze!

- A niech to diabli, jeśli nie potrafię! - odparła. - Daj mi ten rower. - Zdjęła niebieską czapkę i rzuciła ją przez ramię. Wsiadła na rower i zaczęła na nim jeździć wkoło.

- Bree, nie bądź głupia - ostrzegwał Sam. Nagle pożałował, że ją sprowokował. - Wyszłaś z wprawy!

- Z nas dwojga, to ja jeżdżę rowerem po ulicach! - krzyknęła ze złością. Próbowała sobie przypomnieć wszystkie ruchy, jakie należało wykonać. W pewnym okresie swego życia uwielbiała takie sztuczki, wypełniały one wszystkie jej wolne chwile. Ale wtedy była w szczytowej kondycji.

Bree wzięła głęboki oddech, chwyciła silnie kierownicę i wolno, z opanowaniem uniosła się na rękach. Przypomniały jej się dawne przeżycia z czasów, kiedy trenowała.

Sam patrzył z niepokojem. Bree bardzo dobrze wykonywała sztuczkę. Płynnie i z wdziękiem. „Ma w sobie coś z gimnastyczki” - pomyślał, kiedy obserwował, jak dziewczyna balansuje. Nagle rower zaczął jechać w stronę jednej z ławek. Sam niczym błyskawica przebył odległość dzielącą go od Bree.

Próbowała przechylić się do tyłu i już, już miała bezpiecznie wylądować na ziemi, ale nagle ogarnęła ją panika. Kiedy rower uderzył w ławkę, Bree zamknęła oczy. Słyszała tylko brzęk metalu uderzającego o drewno. Nie czuła żadnego bólu...

„Jestem sparaliżowana" - pomyślała w popłochu, zanim poczuła nagły wstrząs. Dotykała czegoś twardego i ciepłego. Otworzyła oczy. Uniosła głowę, żeby zobaczyć, co się stało. Sam Leong patrzył na nią z góry, jego twarz poczerwieniała z wysiłku. Mężczyzna pochwycił Bree za nogi, zanim zdążyła upaść na ziemię, a teraz wisiała głową w dół.

Delikatnie postawił ją na ziemi i przytulił do siebie.

- Czy ogłosimy zawieszenie broni? - szepnął. - Nie chcę, żebyśmy krzyczeli na siebie w trakcie dzisiejszej kolacji. Przygotowałem coś specjalnego - powiedział i złożył długi pocałunek na jej ustach.

- Dobrze. Ogłaszamy zawieszenie broni - rzekła cicho.

„Przyznaj się do tego! Jedziesz do domu Sama i masz zamiar uwieść tego mężczyznę!" – powiedziała do siebie. Miała starannie uczesane włosy, wieczorowy makijaż. A do tego jeszcze ta wyzywająca sukienka!

Bree uparła się, że sama dotrze do domu Leongów, pomimo że Samson bardzo chciał po nią przyjechać.

Potrzebowała czasu, by przywyknąć do widoku czerwonego atłasu opinającego jej ciało. Miała nadzieję, że długa jazda uspokoi jej nerwy, ale szalone myśli wciąż wirowały w jej głowie. Zaczęła przypuszczać, że kupno tej sukienki było pomyłką.

A gdyby tak przydarzył się jej wypadek i jej przybrani rodzice zostaliby wezwani z Arizony, co by sobie o niej pomyśleli? Zawsze mówili, że lekarze i pielęgniarki na pogotowiu dopiero w drugiej kolejności udzielają pomocy kobietom, które noszą czarną i czerwoną bieliznę. A ona nie dość, że ma czerwoną bieliznę, to w dodatku szkarłatna sukienkę. „Powinnam mieć na siedzeniu koc i jakieś białe majtki... Tak na wszelki wypadek" - pomyślała w popłochu.

Tak naprawdę, to Bree nie martwiła się o swój wygląd czy o opiekę lekarską, lecz o swoją reputację. Choć nie przyznawała się do tego sama przed sobą, gdzieś w jej podświadomości tkwiło przekonanie, iż ubranie tego rodzaju noszą wyłącznie kobiety określonego pokroju. Kobiety wykonujące najstarszy zawód świata. Miało to związek z pewnym wydarzeniem z dzieciństwa. Później przez kilka lat Bree obawiała się, że ktoś odkryje jej sekret i, co gorsza, ona będzie żyła w wiecznym wstydzie.

Otoczona miłością swoich przybranych rodziców, Bree nie zastanawiała się nad tym, co skłoniło jej rodzoną matkę do tego, że oddała ją do sierocińca. Nie myślała o tym, dopóki nie skończyła trzynastu lat. Wtedy, podczas nudnego przyjęcia w domu jej przyjaciół, po raz pierwszy ta delikatna sprawa została poruszona. Bree nigdy nie zapomni momentu, kiedy jej bliska koleżanka powtórzyła coś, co usłyszała od swego ojca.

- Bree, myślę, że już wiem, dlaczego zostałeś adoptowana. - Lisa Arthur zakomunikowała to wobec grupy rówieśników. - Mój tato powiedział, że wszystkie dzieci adoptowane z chińskich sierocińców są dziećmi prostytutek.

Tamta przypadkowa uwaga zasiała ziarno wątpliwości w jej trzynastoletniej głowie. Czy rzeczywiście jej matka była nierządnicą w Hong Kongu, a jej ojciec angielskim żeglarzem?

Dopiero z biegiem czasu uświadomiła sobie, że komentarz pana Arthura świadczył jedynie o jego ignorancji. Później odkryła, że istnieje wiele innych powodów, które mogą skłonić młode matki do oddawania swoich dzieci do adopcji. Ale ziarno niepewności wykiełkowało, a jego korzenie sięgały głęboko do podświadomości dziewczyny. Dlatego Bree

czuła się nieswojo na myśl o czerwonej sukience, niecodziennym makijażu, a szczególnie o czerwonych, koronkowych majtkach.

Sam ukradkiem spoglądał na Bree, siedzącą naprzeciw niego przy stole w jadalni. Kiedy otworzył frontowe drzwi, zaskoczył go widok wyrafinowanej kobiety w czerwonym atlasie. Godzinę później ciągle wydawała mu się zjawą tak niepodobną do Bree, którą znał.

- Bree. - Nie potrafił ukryć swojego zdumienia. - Wyglądasz jak... jak...

- Wciąż nie jestem pewna, czy trafiłam pod właściwy adres - sztydła. - Przez cały czas zachowujesz się jak obcy człowiek, tak jakbyś zobaczył mnie po raz pierwszy.

Spojrzał na jej piersi i sutki, które odznaczały się wyraźnie na tle błyszczącej tkaniny. Całowałby i pieścił je w chwilach intymności, ale to nieskromne ubranie sprawiło, że dziewczyna wydawała mu się bardzo tajemnicza, a nawet obca. Chciał sięgnąć przez stół, dotknąć jej i odkryć na nowo. Mocno wycięty dekolt i zmysłowe zakładki jej sukienki były bardzo kuszące.

- Przepraszam, jeśli zachowuje się trochę sztywno, ale nie mogę oprzeć się wrażeniu, że spotkałem cię dziś po raz pierwszy. Bree, wyglądasz... czarująco.

- Dziękuję. Ale twoje zachowanie wprawia mnie w zakłopotanie. Chciałabym, żebyś się odprężył i zrelaksował. Czy przypadkiem nie rozprasza cię obecność kucharzy za ścianą?

Sam zatrudnił trzech swoich kuzynów, żeby przygotowali dla nich posiłek, i czwartego, żeby służył jako kelner. Sobotnia kolacja miała być

złożona wyłącznie z dań chińskich. Z kuchni nieustannie docierały do jadalni odgłosy rozmów i krzątania.

- Moi kuzyni? Nie. - Potrząsnął głową.

- Mam wrażenie, że ciągle ci przerywają... - rzekła Bree, ale nie dokończyła zdania, gdyż właśnie pojawił się Elliot. Zbliżył się do Sama i powiedział coś szybko po chińsku.

- Wybacz mi, proszę - rzekł Sam, wstając od stołu. Kiedy wszedł do kuchni, wrzawa przybrała na sile.

- Proszę wybaczyć te drobne nieporozumienia - zaczął tłumaczyć Elliot - ale każdy z nich pracuje w innej restauracji i każdy ma swój własny styl gotowania. Chodzi o deser. Sam chciał, by podano smażone banany, ale każdy z nich chce je przygotować, więc teraz Sam próbuje rozstrzygnąć, który z nich to zrobi.

- Przecież to niepoważne - powiedziała, zapominając o swych uwodzicielskich planach na wieczór. Wstała od stołu, weszła do kuchni i uśmiechnęła się do chłopców.

- Sam, dlaczego nie pozwolisz, żeby wszyscy trzej przygotowali banany. Później razem zasiądziemy do stołu.

Nie czekając na odpowiedź, sięgnęła do szafki i wystawiła dodatkowe talerze. Zupełnie zapomniała o obcisłej sukience, którą miała na sobie. Potem otworzyła szufladę ze sztućcami i wyjęła pałeczki. Spojrzała na zdziwionych kucharzy i uśmiechnęła się do nich. Sam wyjaśnił im coś po chińsku.

- Zjemy razem. - Jak to zazwyczaj robi się w rodzinie - zakomunikowała, wręczając talerze Elliotowi. Po chwili ruszyła za nim do jadalni.

Wspólnie z Samem i Eliotem przygotowali dodatkowe nakrycia. Wkrótce do jadalni uroczyście wkroczyli trzej kuzyni Sama. Każdy z nich niósł dumnie tacę smażonych bananów.

- Jesteś urodzoną dyplomatką. - Sam z podziwem spojrział na Bree, podczas gdy jego krewni rozmawiali przyjaźnie. - Nie potrafiłem ich pogodzić, a tym bardziej sprawić, żeby usiedli z nami przy jednym stole. Oczywiście twoja sukienka miała z tym coś wspólnego - dodał i ścisnął znacząco jej rękę. - Już niedługo zostaniemy sami - szepnął tajemniczo.

„Cynthia miała rację - pomyślała Bree, pijąc powoli herbatę. - Dzisiejszej nocy Sam z pewnością nie dotrzyma danej sobie obietnicy”.

Mocne postanowienie Sama o powolnym zdobywaniu Bree osłabło, kiedy tylko usiedli na dużych, miękkich poduszkach rozłożonych na podłodze w jego pokoju. Uwagę mężczyzny całkowicie absorbowwała wsparta o jego ramię kobieta.

- Jeżeli dobrze pamiętam, to dziś rano powiedziałaś, że sezon polowań na gazele rozpocznie się... po kolacji - szepnął czule. Jego palce delikatnie głaskały policzek Bree. - Sądziłem, że to myśliwy zazwyczaj przywdziewa szkarłatny strój, a tymczasem to ty nałożyłaś czerwoną szatę... - Pocałował ją w policzek. -Kto tu na kogo poluje? - zapytał ze śmiechem.

Bree znieruchomiała na moment. Nie chciała udawać skromnej panienki, ale słowa Sama lekko ją ukłuły.

- Sam, żeby polowanie mogło się odbyć, potrzebna jest broń i ofiara - odparła po chwili.

- Mam wrażenie, że jestem ofiarą. - Jego palce błędziły po plecach dziewczyny. Czuł rozkoszną różnicę pomiędzy śliską, atłasową tkaniną a jedwabistą skórą Bree.

- Dzisiejszego wieczoru bardzo mnie zaskoczyłaś... Poznałem inną Bree Jeffries.

Bree poczuła niespokojne dreszcze przebiegające przez jej ciało. Usta Sama pieściły jej policzki, oczy, a wreszcie karminowe wargi.

- Co ty właściwie chcesz osiągnąć? Próbujesz tylko zwrócić na siebie uwagę czy usiłujesz doprowadzić mnie do szaleństwa? - szepnął namiętnie i złożył gorący pocałunek na ustach dziewczyny.

Bree poczuła, jak dłonie Sama wślizgują się za jej dekolt i szybko wędrują ku wzniesieniu jej piersi.

- Czy myślisz, iż nie zdaję sobie sprawy z tego, że to, co zaistniało między nami, jest czymś wyjątkowym? - Jego głos drżał z podniecenia. Ujął delikatnie jej piersi i zaczął pieścić sutki.

- Ależ nie, wcale tak nie uważam. Wiem, że nie jestem ci obojętna, świadczy o tym twoje postępowanie i zachowanie... Ach! - Zakończyła zdanie westchnieniem rozkoszy. - Pomyślałam tylko, że mogę trochę przyspieszyć zbliżenie.

Delikatnie rozpięła koszulę Sama. Pragnęła dotykać jego muskularnego, męskiego ciała.

- Czy jesteś pewna, że twoje uczucia są wystarczająco silne? — Sam nie mógł uwierzyć, że wciąż usiłuje zachować ostrożność. Ciągłe domagał się nowych dowodów potwierdzających pragnienie Bree. - Bree, powiedz mi, dlaczego. Co ci się we mnie podoba?

Rozpiął jej sukienkę, odkrywając jędrne piersi. Zaczął delikatnie całować jej ramiona...

Jego pieszczoty tak absorbowały uwagę Bree, że z trudem mogła skoncentrować myśli, a tym bardziej znaleźć słowa, by wytłumaczyć swoje zauroczenie.

- Masz bardzo seksowny głos. Kiedy rozmawiasz przez telefon, z pewnością trzymasz słuchawkę blisko podbródka... Mam wrażenie, że jesteś tuż obok mnie...

- Zwykle wtedy porządkuję moje dokumenty.

- Więc porządkuj je zawsze, kiedy do mnie telefonujesz. Chcę słyszeć twój głos...

- Teraz jestem tu, przy tobie, i możesz mnie pieścić - szepnął Sam i zsunął sukienkę z jej bioder. - Spróbuj.

Bree rozpięła guziki, zamki, zdejmowała poszczególne części jego garderoby. Wreszcie pozbyli się ubrań. Leżeli obok siebie nadszy, skapani w świetle księżycy i drżący z pożądania. Składali sobie hołd subtelnymi pieszczotami, szeptami i długimi pocałunkami.

Dłonie Bree błądziły po wspaniałym ciele mężczyzny.

Słyszała westchnienia Sama, które jeszcze bardziej wzmagaly jej pożądanie.

Mężczyzna delikatnie pieścił wewnętrzne strony jej ud. Nagle przestał. Bree głośno westchnęła.

- Sam? - szepnęła. Ból rosnącego w niej podniecenia domagał się zaspokojenia.

- Właśnie coś sobie przypomniałem. Obiecałem ci, że po raz pierwszy będziemy kochać się w promieniach słońca, w twoim pokoju.

Bree pamiętała jego słowa.

- Czy zgadzasz się na drobną zmianę? Czy wystarczy nam światło księżycy? - Sam uśmiechnął się i ponownie zaczął pieścić jej uda. Bree nie wymówiła ani słowa. Wiedział, że zgadza się na wszystko. Nie mogła zignorować płomienia, który palił jej ciało, pożądania, które coraz bardziej wypełniało jej wnętrze.

Dłonie dziewczyny subtelnie pieściły najwrażliwsze obszary na ciele mężczyzny. Dotykane Sama w tak intymnych miejscach spowodowało, że zapragnęła go jeszcze bardziej. Teraz.

- Teraz, Sam. Proszę, kochaj mnie teraz- szepnęła.

Podniecony mężczyzna uniósł się na rękach i delikatnie nakrył swym ciałem drżącą z pożądania kobietę.

Bree westchnęła z rozkoszy i uniosła swoje biodra na spotkanie jego rozpalonego ciała.

Sam nagle poczuł szczyt wzbierającego pożądania. Wiedział, że nie mógłby czekać dłużej, więc kilkoma rytmicznymi ruchami zdobył Bree. Był pewny swojej miłości do niej i chciał wykrzyknąć te słowa, by schwytać piękną gazelę, zanim mu umknie.

Ich dusze złączyły się w magicznym rytmie, a ich ciała falowały miarowo, pieszczone blaskiem księżycowego światła.

Rozdział ósmy

Obudziły ją wpadające przez okno promienie słoneczne. Bree leżała w objęciach Sama. Wspomnienie ich upojnej nocy przywiodło uśmiech na jej usta. Kiedy światło księżyca przybladło, Sam przeniósł ją do swojego łóżka, gdzie przy płomieniach świec kochali się raz jeszcze.

- Jousahn - szepnął Sam zaspanym głosem. W języku kantońskim oznaczało to „dzień dobry”.

- Jousahn - odpowiedziała słodko i odwróciła się do niego.

Poleniuchowali jeszcze chwilę w łóżku, a potem poszli do łazienki i wzięli prysznic. Sam zmył resztki makijażu z twarzy Bree, mówiąc, że naturalne piękno nie potrzebuje wzmocnienia. Zbliżenie sprawiło, że Bree czuła się związana z Samem niewidzialną nicią intymności, która przedtem nie istniała.

Po kąpieli przygotowali dla siebie śniadanie. Z talerzami pomaszerowali w kierunku miękkiej, obszernej sofy. Ułożyli się wygodnie, ustawiając talerzyki ze smakołykami na stojącym obok niewielkim stoliku. Leżąc leniwie w ciszy niedzielnego poranka, prowadzili luźną rozmowę.

Dyskutowali o sukcesie kampanii. Sam zagadnął Bree o program zaplanowanego przez nią maratonu rowerowego.

- Dokładnie porozmawiamy o tym jutro na lunchu, w południe. Wszyscy sądzą, że w maratonie powinni brać udział wyłącznie gońcy z naszego miasta. Oczywiście, w założeniu ma to być tylko zabawa.

- Zabawa? - powtórzył. - Nie chce przesadzać, ale znam moich ludzi. Konkursy dla dzieci i prowadzenie kursu bezpiecznej jazdy w parku to

jedna rzecz. Wszyscy mogą to robić. Ale jeśli tylko posłańcy przekroczą linie startu, z pewnością będą współzawodniczyć między sobą, by jak najszybciej dotrzeć do mety, każdy z nich będzie chciał wygrać.

- Możemy powiedzieć im, że nieistotne jest zwycięstwo w maratonie, lecz najważniejsze były dzieci, które uczestniczyły w kursie i zdobyły odznaki - zaproponowała Bree.

- Bardzo altruistycznie - stwierdził Sam i objął ją ramieniem. - Ale w tej chwili nie interesuje mnie działalność społeczna, a jedynie moje prywatne sprawy. - Spojrzał na nią wymownie.

Bree zerknęła na jego nie dokończoną kanapkę.

- Nie smakuje ci kanapka z pieczoną kaczka?

- Nie bardzo. Za to mam ochotę na ciebie.

- Ona... Oni to zrobili, Sam - wykrzyknął Tony O'Brien, wchodząc do biura Leonga w poniedziałkowy ranek. Niósł dwa wydruki komputerowe i taśmę z kalkulatora.

- Kto zrobił, co? - Sam zażądał odpowiedzi.

- Bree Jeffries - Softpedalers Incorporated. Osiągnęła pierwsze miejsce. Zgodnie z notowaniami jest na nim razem z tobą. - Tony potarł palcami swoją łysinę.

- Nie mogę w to uwierzyć. Nasi ludzie donoszą, że firma Softpedalers jest skomputeryzowana. To może stanowić powód jej sukcesu...

Sam już miesiąc temu kazał zainstalować komputery w Silver Rockets i usiłował skłonić swoich ludzi, by pracowali nowym systemem. Jednakże jego wysiłki poszły na marne. Pracownicy nie chcieli zmieniać dotychczasowych metod prowadzenia firmy.

Spokojnie zapytał Tony'ego o szczegóły. Spojrzał na kolumny cyfr na wydruku, ale nie potrafił skoncentrować na nich swojej uwagi. Jego myśli nieustannie krążyły wokół Bree.

Zobaczy ją dzisiaj na lunchu. Nie! Koniecznie musi oddzielić swoje prywatne życie od interesów. Szczególnie w tym momencie. Jeszcze miesiąc temu wiadomość Tony'ego mogła go załamać. Jego męska ambicja nie mogłaby znieść takiej zniewagi. Teraz jednak Sam był dumny z osiągnięcia Bree.

Jedyna rzecz, która go zastanawiała, to jaką strategię stosowała Bree. Jej pracownicy przede wszystkim przestrzegali przepisów drogowych i na pierwszym planie stawiali bezpieczeństwo. Jak na to reagowali zleceniodawcy, dla których najważniejsze było szybkie załatwienie ich spraw?

Sugestia Tony'ego dotycząca komputeryzacji Softpedalers podsunęła mu myśl o przeprowadzeniu koniecznych zmian nie tylko w programie finansowym, ale również w systemie pracy jego firmy.

- Tony, chciałbym ponownie zatrudnić tę konsultantkę z firmy komputerowej, z którą już pracowaliśmy. Może damy jej więcej czasu, co pomoże załodze zintegrować się z nowym systemem pracy. - Zaraz do nich zadzwonię.

- Chcę również spotkać się ze wszystkimi pracownikami. Jedna godzina dla urzędników. Jedna dla gości. Jedna dla kierownictwa i tak dalej.

- To brzmi dobrze, Sam. - Tony usiadł. Słuchał uważnie.

- Koniecznie musimy zaradzić kradzieżom naszych rowerów. Nie możemy sobie pozwolić na ciągłe straty. - Sam uderzał miarowo palcem w

stertę wydruków komputerowych. - Chciałbym jak najszybciej otrzymać kopie notowań na rynku, projektów wydatków, list naszych klientów, raportów wypadków i wydatków na potrzeby załogi.

- Dostarczę ci to wszystko do południa. - Tony zapisał coś w notatniku. - Czy coś jeszcze?

- Tak. Od tego momentu nie chcę wiedzieć, na której pozycji znajduje się Bree Jeffers i Softpedalers... ani też Silver Rockets. Nie zamierzam myśleć o pozycjach... przynajmniej na razie.

Trwało cotygodniowe zebranie komitetu.

Bree właśnie skończyła czytać nagłówki artykułów w lokalnej i ogólnokrajowej prasie. Wszystkie wychwalały sobotnią inicjatywę. Podziękowała członkom komitetu za ich niemały wkład pracy w całe przedsięwzięcie.

Poruszono temat maratonu rowerowego. Członkowie rady postanowili, że wyścig musi mieć w założeniu przede wszystkim bezpieczną jazdę.

Bree napotkała spojrzenie Sama. Uśmiechnął się do niej przyjaźnie. „Ciekawe, czy będzie zachowywał się równie pogodnie, kiedy przystąpię do omawiania punktu piątego?” - pomyślała z niepokojem.

- A oto inne propozycje dotyczące maratonu - kontynuowała. - Każda firma powinna dostarczyć swoim zawodnikom stroje w kolorach identyfikujących. Można również umieścić na koszulkach numery startowe zawodników. Sprawa następna. Musimy znaleźć sponsorów, którzy przynajmniej częściowo pokryją koszty tego przedsięwzięcia. Mamy swoich stałych klientów, którzy systematycznie korzystają z naszych usług. Może zechcą wesprzeć naszą nową działalność. Trzeba

zapytać ich o ewentualne dotacje. Czy są jakieś pytania lub sugestie dotyczące tej kwestii? - Zwróciła się do zgromadzonych.

Bree odnotowała uwagi członków, a następnie poinformowała, kto i za co jest odpowiedzialny.

Wreszcie przeszła do najbardziej drażliwego punktu dzisiejszego zebrania - punktu piątego.

- Jak wiecie, cała ta kampania została zorganizowana nie tylko po to, żeby promować bezpieczeństwo, ale także, żeby wszcząć postępowanie prawne w odpowiedzi na skargi naszych klientów, a także pieszych i kierowców, którzy domagają się ukarania lekkomyślnych, nieodpowiedzialnych gońców pracujących w naszych firmach. Niestety, nasi pracownicy dopuścili się licznych wykroczeń drogowych, które naraziły na niebezpieczeństwo wiele osób, a czasem nawet były one tragiczne w skutkach.

Bree otworzyła aktówkę i wyjęła z niej stertę listów i raportów policji. Położyła je na stole.

- Z jednej strony jesteśmy chwaleni przez społeczeństwo za naszą obecną działalność - za kampanię, a z drugiej strony, jako firma, nadal mamy złą opinię.

- Sądziłem, że opinia o nas uległa w ostatnim czasie znacznej poprawie - odezwał się ktoś na sali.

- Niestety, nie. Świadczy o tym długa lista mandatów i skarg. - Uniosła w górę pokaźny plik kartek. - Nie będę jej czytać, gdyż zabrałoby to zbyt dużo czasu. Puszczę w obieg kopię tego wykazu, żeby każdy mógł ją przejrzeć. - Wręczyła stos papierów Stuartowi Binghamowi, który siedział po jej prawej stronie.

Bree spojrzała na własną kopię i czekała. Po chwili ludzie, którzy siedzieli dookoła stołu, zaczęli reagować na informacje zawarte w dokumentach.

Sam z uwagą przeglądał raporty. Nazwa Silver Rockets pojawiła się w nich czternaście razy. Jego ludzie popełnili najprzeróżniejsze wykroczenia: zniszczyli cztery prywatne samochody i jedną taksówkę, wielokrotnie przejeżdżali na czerwonych światłach, wystraszyli grupę starszych ludzi i tak dalej... I to wszystko w czasie jednego miesiąca...

Sam dostrzegł oskarżające spojrzenie skierowane w jego stronę i w stronę innych „gwałcicieli prawa”. Był bardzo zdenerwowany. Kiedy po chwili trochę się uspokoił, poprosił o głos.

- Czy mogę coś powiedzieć... w obronie moich kurierów, a właściwie wszystkich naszych kurierów? Nasze miasto poniosłoby spore straty, gdyby zrezygnowało z usług pieszych, samochodowych i rowerowych gońców. Niewątpliwie są oni potrzebni i wykonują dobrą robotę, choć przyznaję, często wchodzą w konflikt z prawem. Ale zastanówmy się, dlaczego tak się dzieje? Otóż wszyscy zdajemy sobie sprawę z faktu, że czas to pieniądz, a pieniądz to czas. Wiedzą to również zleceniodawcy, którzy żądają szybkiego dostarczenia przesyłek. Więc kurierzy się spieszą... a światła uliczne i zasady ruchu drogowego opóźniają realizację zleceń. Dlatego niekiedy dochodzi do tego rodzaju ekscesów, o których słyszeliśmy przed chwilą. Proszę mi wierzyć, że gońcy pracują często ponad ludzkie możliwości i z narażeniem własnego życia. To bardzo obciążające zajęcie...

Bree w napięciu oczekiwała na reakcję zgromadzonych. Chciała wcześniej zadzwonić do Sama, by go ostrzec, że jego firma znalazła się na

jednej z czołowych pozycji na liście wykroczeń. Ale potem uświadomiła sobie, że ich związek, bez względu na to jak intymny, nie może wpływać na jej decyzje i funkcje, które pełni jako dyrektor komitetu.

- Zdaje się, Leong, że nie masz dobrego zdania na temat tej kampanii - wtrącił właściciel jednej z firm. - Jako nasz konkurent, jesteś najlepszy, ale również na czarnej liście nie ustępujesz nikomu pierwszeństwa.

Sam nerwowo zacisnął zęby. Jego firma dostała dwa kopnięcia i to w ciągu jednego dnia. Wszystko przez Bree Jeffries. Z trudem panował nad emocjami, ale zdawał sobie sprawę, że złością niczego nie osiągnie ani nie zdziała. W ten sposób na pewno nie zdobędzie szacunku wśród swoich konkurentów. Musiał okazać chęć współpracy.

Sam uprzejmie uśmiechnął się do zgromadzonych.

- Wierze w to, co tutaj robimy. Ale sądzę, że powinniśmy zorganizować innego rodzaju działania, akcje, które mogłyby pomóc naszym kurierom. W Nowym Jorku pewien człowiek, fachowiec, prowadzi kursy bezpiecznej jazdy dla posłańców i uczy ich zasad poruszania się po ulicach. Sądzę, że zdołalibyśmy ściągnąć go do San Francisco chociażby na jeden dzień. Można by zorganizować wykład czy coś w tym rodzaju i nawet nagrać to na wideo. Później moglibyśmy używać kaset do szkolenia naszych ludzi, a także udostępnić taśmy w miejscowych bibliotekach.

- Niegłupi pomysł - zauważył jeden z głównych oskarżycieli.

Zaczęto dyskutować nad propozycją Sama. Wszyscy doszli do wniosku, że to dobry pomysł. Wyznaczono więc trzech ludzi, którzy mieli zająć się sprowadzaniem eksperta z Nowego Jorku i organizacją całego projektu.

- Chciałbym również skorzystać z okazji i wnieść poprawkę do tego, co tu zostało powiedziane. - Sam ponownie zabrał głos. - Pragnę oświadczyć, że moja firma nie jest pierwszą w mieście. To miejsce Silver Rockets ma honor dzielić z Bree Jeffries i Softpedalers.

Nastąpiła cisza. Członkowie ukradkiem zerkali w stronę Bree.

- Ponadto chciałbym przedyskutować jeszcze jedną kwestię.

Ustalono, że w maratonie nie będzie zwycięzców ani przegranych. Skoro chodzi głównie o przestrzeganie przepisów bezpiecznej jazdy - spojrzął w stronę Bree - pragnę skorzystać z okazji i wyzwać panią Jeffries na pojedynek.

Bree popatrzyła na Sama z niedowierzaniem.

- Na pojedynek?

- Tak, ale oczywiście przyjacielski. Silver Rockets przeciwko Softpedalers. - Sam uśmiechnął się, a w jego oczach pojawił się dziwny błysk. - Przypuszczam, że moi pracownicy potrzebują jakiejś podniety, która zmobilizowałaby ich do właściwej postawy, potrzebują przykładu do naśladowania.

- A jak zareagują na to inni uczestnicy? - zapytał jeden z członków. - Te zawody są dla wszystkich, nie tylko dla dwóch najlepszych firm.

- Sądzę, że jedynie w ten sposób mogę skłonić moich pracowników do tego, by zwracali większą uwagę na bezpieczeństwo, a nie głównie na szybkość - wyjaśnił Sam. - Skoro w Softpedalers można, to można i u nas.

Sam Leong spojrzął badawczo na Bree.

- Dobrze, zgadzam się - powiedziała protekcjonalnym tonem. -
Przejdźmy teraz do punktu szóstego.

- Nie może pani tam wejść. Pan Leong ma konferencję... -
zaprotestowała sekretarka.

Bree nie zareagowała na jej słowa, tylko błyskawicznie przemierzyła biuro Silver Rockets i zdecydowanym ruchem otworzyła drzwi do pokoju Sama. Przez moment stała w wejściu, oceniając sytuację.

Sam był bez koszulki. Miał na sobie tylko skąpe czarne spodenki. Stał tyłem do drzwi i ćwiczył przed otwartym oknem. Jego oddech harmonizował z ruchami. Ciało mężczyzny pokrywały kropelki potu.

Bree z zachwytem obserwowała prace jego mięśni, gdy Sam rytmicznie wykonywał ćwiczenia. Mężczyzna miał zamknięte oczy. Jego usta zbieleły od wysiłku. Poruszał się płynnie w rytm głośnej muzyki dochodzącej ze stojącego na biurku radia. Wyglądał bardzo pociągająco, emanowała z niego siła i męskość.

Przez ostatnie dni wiele o nim myślała. Teraz walczyła, żeby pozostać obojętną, by utrzymać swoją złość i zdenerwowanie na poziomie, który pozwoli jej powiedzieć to, z czym tu przyszła.

Musiała dowiedzieć się, dlaczego Sam Leong wyzwał ją na pojedynek.

Bree ruszyła w kierunku mężczyzny. Po drodze wzięła ręcznik z krzesła i podeszła do Sama. Przez chwilę stała bez ruchu. Wahala się. Zapomniała, co chciała powiedzieć.

- Czy mógłbyś mi powiedzieć, co się stało z mężczyzną, z którym spędziłam weekend? - zapytała wreszcie. - Czyżby zniknął?

Sam otworzył oczy i spojrzał na nią trochę zaskoczony, ale nie odezwał się.

- Co się wydarzyło pomiędzy romantycznym śniadankiem we dwoje a dzisiejszym zebraniem? - Żądała odpowiedzi. - Dlaczego wyzywasz mnie na pojedynek?

- Czy wszystkie gajele tak odważnie i bezceremonialnie wkraczają na teren swego przeciwnika? - zapytał Sam. Usiadł, wziął głęboki oddech i uśmiechnął się do niej.

- Dlaczego mnie wyzwiałeś? - Powtórzyła swoje pytanie, usiłując zapanować nad rosnącym zdenerwowaniem.

Sam wstał i wziął ręcznik z jej dłoni.

- Mój księgowy oznajmił mi dzisiaj rano, że wspięłaś się na pierwsze miejsce. Gratulacje. - Wytarł kropelki potu z szyi i ramion.

- I tylko dlatego okazujesz swoją złość?

- Może cię to zdziwi, ale nie jestem z tego powodu zły. Wiedziałem, że to nieuniknione. Myślałem, że to wina moich pracowników i już chciałem ich oskarżać. - Sam usiadł na biurku. - Bree, jestem naprawdę z ciebie dumny. Sądziłem, że znam się na tym interesie, ale pokazałaś mi, że stare metody są już nieskuteczne. Zamierzam wprowadzić kilka zmian... - przerwał. Nigdy nie dyskutował z nią na temat spraw jego firmy. W biznesie wciąż jeszcze byli przeciwnikami.

Podsunał jej krzesło.

- Sam, na zebraniu wspomniałeś o bodźcu mobilizującym do przestrzegania zasad bezpieczeństwa. - Bree usiadła na krześle. - Jak zamierzasz powstrzymać naszych pracowników przed współzawodniczeniem między sobą? Rzuciłeś mi rękawicę, wyzwiałeś aa pojedynek przed wszystkimi. Przecież nasi ludzie wiedzą, że między

naszymi firmami istnieje ciągła rywalizacja. Więc wytłumacz mi, jak skłonisz ich do tego by nie łamali zasad bezpieczeństwa?

- To bardzo proste. Warunkiem uczestnictwa i zwycięstwa w maratonie będzie bezpieczna jazda. Kto złamie regułę, ten zostanie wyeliminowany. Rowerzyści będą zwracali baczną uwagę na przestrzeganie przepisów, a nie tylko na szybkość.

- To wszystko jest bardzo skomplikowane, ale ma jakiś sens, mam nadzieję. - Bree westchnęła.

Sam nadal siedział na biurku i obserwował dziewczynę.

- Ale co będzie z nami? Czy to nie zniszczy tego, co... zaistniało między nami?

Sam nagle wstał i podszedł do krzesła, na którym siedziała. Pochylił się nad nią.

- A co jest między nami? - zapytał żartobliwym tonem.

- Coś wyjątkowego. - Bree z czułością i uwielbieniem spoglądała na Sama. - Musimy przetrwać.

- To są inne strony naszego życia - powiedział cicho. - To jest życie publiczne. Kiedy jesteśmy razem, możemy naszą pracę uczynić tematem tabu.

Ich usta złączyły się w długim, namiętym pocałunku.

- Wesołe miasteczko jest otwarte aż do dziesiątej... - szepnął Sam. - Jeśli się pospieszymy, zdążymy pojeździć kolejką, zrobimy nawet dziesięć rund.

- Muszę pilnować interesu...

- Cicho. - Sam wziął ją w ramiona i złożył na jej ustach kolejny gorący pocałunek. - Pamiętaj o umowie. Nie rozmawiamy o naszej pracy.

- Ale... - Bree oponowała.
- Zapakuję kilka kanapek z pieczoną kaczką. - Pocałował ją w czoło.
- Przemkniemy dziesięć razy po trzech pętlach, a potem...

RS

Rozdział dziewiąty

Już po raz trzeci Bree usłyszała słowo „napoleonka”. Zirytowana spojrzała w lusterko, poszukując tego, który je wypowiedział. Tuż za nią jechał kurier na srebrzystym rowerze. Oczywiście był to goniec z Silver Rockets.

- Mówisz do mnie czy zamawiasz kawałek ciasta? - Spojrzała pytająco w stronę człowieka, który ją już dogonił.

- Tak, tyle że to ciastko z kremem - odpowiedział, przejeżdżając blisko przechodniów. - Poczekaj na wyścig, szefowo!

Bree nie oczekiwała, że tak szybko usłyszy podobne uwagi. Zarówno Sam, jak i ona powiedzieli swym pracownikom o „przyjacielskim” pojedynku między firmami. Po kilku dniach zauważyła dziwne poruszenie wśród ludzi. Dotarły do niej niewiarygodne pogłoski o przygotowaniach przeciwników. Podobno rowerzyści z Silver Rockets zażywali multiwitaminy, zatrudnili specjalnych trenerów, wynajęli dziesięciu włoskich mnichów, którzy mieszkali na szczycie jakiejś fory, nie mówili po angielsku i byli najlepszymi wyścigowcami na świecie.

- To brzmi interesująco - stwierdziła, kiedy usłyszała te nowinę. - Dziesięciu Włochów, którzy nie mówią po angielsku, a do tego nie znają ulic w San Francisco. Ciekawe...

„Skąd pochodzą te wszystkie pogłoski?” - zastanawiała się Bree.

Dwa tygodnie temu ona i Sam zdecydowali, że interesy będą tematem tabu, przynajmniej na ich prywatnych spotkaniach. Czy Leong wiedział, jakie historie krążyły wśród pracowników obu firm?

Kiedy zatrzymali się przed kolejnymi światłami, Bree policzyła nacięcia na ramie roweru młodego gońca. Wśród niektórych kurierów panował zwyczaj, żeby nacięciami zaznaczać każdą swoją drogową kraksę. Ona nie pozwoliłaby na takie praktyki swoim pracownikom. Jak można chwalić się nieszczęściami? Dziwiło ją, że Sam nie miał nic przeciwko tego rodzaju zabawie.

- Napoleonka - powtórzył goniec ze śmiechem.

Bree przyjrzała mu się uważnie. Może powinna osobiście przedyskutować tę sprawę z Samem, ale mogła też wysłać kogoś, kto przekaże mu słowa ostrzeżenia.

- Jeśli mówisz o wyścigu, to musi być uczciwy od początku do końca. Powiedz swojemu szefowi - żadnych brudnych sztuczek, multiwitamin czy włoskich mnichów.

- Włoscy mnisi? Multiwitaminy? - Połaniec spojrział na Bree z oszołomieniem. Nie zdążył zareagować, gdyż dziewczyna już zniknęła za rogiem

- Zgłoś się, Gazela. Tu biuro do Gazeli. - usłyszała głos z krótkofalówki.

- Karl, tu Gazela - odpowiedziała. - Nie załatwiłam jeszcze ostatniego zlecenia. Czy masz już dla mnie następne?

- Tak, miałem, ale przekazałem je Crisco Kidsowi, ponieważ dzwonił Sam Leong i twierdził, że ma do ciebie pilną sprawę. - Bree usłyszała śmiech Karla. -Oczekuje cię w swoim biurze. Chcesz usłyszeć ostatnią nowinkę na temat Silver Rockets?

- Nie, dziękuję, Karl. Słyszałam już ich dosyć - odparła i przerwała łączność.

Pilne! Za każdym razem, kiedy Sam dzwonił, wzmacniał swoją informację słowem „pilne”. Bree znalazła budkę telefoniczną.

- Dostałam twoją wiadomość, Sam. Nadal jest to pilne?

- Zarezerwowałam dla nas stolik na lunch w hotelu St. Germaine.

- Naprawdę? Na dużej sali? - zapytała, spoglądając na brudne szyby budki. Musiała szybko wracać do biura, by odpowiednio się ubrać.

- Pokój numer sto piętnaście. - Głos Sama brzmiał zmysłowo.

- Och... - westchnęła Bree. Nie mogła powstrzymać uśmiechu. -

Sądzę, że zdołam umieścić to spotkanie w swoim harmonogramie dnia. -

Starła się, żeby jej głos brzmiał chłodno i służbowo. - Gdzie się spotkamy? - zapytała.

- W recepcji, w południe.

Sam stał przy filarze w starannie urządzonym holu recepcji. W rękę trzymał jakiś magazyn i czekał z niepokojem na Bree.

Trudno było zorganizować z nią spotkanie sam na sam. Bree prowadziła aktywne życie towarzyskie i często widywała się ze swoimi przyjaciółmi. A w dodatku i rodzina Sama żądała, żeby wspólnie z Bree poświęcili im trochę swojego czasu. Krewni zaakceptowali ją bez zastrzeżeń, przyjmowali ciepło, a nawet starali się w jej obecności mówić po angielsku.

Z niecierpliwością więc oczekiwał na wspólne popołudnie w hotelu. Miał nadzieję, że to miejsce stworzy odpowiednie warunki do rozmowy i nie tylko...

Wreszcie spostrzegł zmierzającą w jego stronę uśmiechniętą Bree. Miała na sobie śliczną jedwabną sukienkę w czarne kropki na białym tle. Wyglądała uroczo. Otaczała ją aura zmysłowości. Dziewczyna nie

potrzebowała tej efektownej, jedwabnej szatki, żeby zwrócić na siebie uwagę każdego mężczyzny w holu. Tak działo się wszędzie, gdziekolwiek się pojawiła.

Sam rzucił gazetę na pobliski stolik i schylił się, żeby pocałować Bree w policzek.

- Pięknie wyglądasz. Rozejrzała się niepewnie dookoła.

- Zazwyczaj przychodziłam tutaj jako goniec, bywała lekceważona przez obsługę i przez gości. Teraz czuję się trochę dziwnie, przychodząc tutaj jako...

Przerwała w pół zdania, nie wiedząc jakiego słowa Czy tym razem pełniła rolę kobiety, która przysłała na skinienie swego kochanka? Spojrzała na Sama. Jego ciało było rozpalone i wyczekujące. Poczowała oblewający ją rumieniec. - Zwykle nosiłam spodenki i koszulkę, tak że obsługa nawet nie pozna.

Sam chciał już coś powiedzieć, kiedy do hotelu wszedł starszy mężczyzna. Zwracał na siebie uwagę wyzywającym i nonszalanckim zachowaniem. Obok niego szła młoda kobieta ubrana w obcisłą spódniczkę mini. Nie wyglądała na więcej niż siedemnaście lat. Jedno spojrzenie Bree wystarczyło, by zrozumieć, czym trudni się ta dziewczyna.

- Czy możemy pójść na górę do pokoju? - zapytał cicho Sam, ujmując dłoń Bree.

Wsiedli do starej, stylowej windy razem ze starszym mężczyzną i młodą dziewczyną. To była milcząca, pełna napięcia jazda na ósme piętro.

Sam wyczuwał niepokój swojej towarzyszk. Otworzył drzwi pokoju sto piętnaście i weszli do środka. Przez odsłonięte ogromne okna wpadały promienie słoneczne.

- Bardzo tu jasno - powiedział Sam i ruszył w stronę okna. - Czy chcesz, żebym zaciągnął story? - Wyrzwał przez okno, ale nie powiedział nic na temat roztaczającego się z niego widoku.

- Sam... - Bree stała oparta plecami o drzwi. Spojrzał w jej stronę. Dostrzegł, że twarz dziewczyny wyraża napięcie i jakby... ból.

- Co się stało? - Sam przeszedł przez pokój i delikatnie dotknął ramienia Bree.

- To nie działa na mnie dobrze... Ten wynajęty pokój. To powoduje, że czuję się jak „ona”.

Zaskoczyła go reakcja dziewczyny. Kiedy rozmawiał z nią przez telefon, nie dosłyszał w jej głosie żadnych oporów ani wahania. Nawet kiedy weszła do hotelu, wszystko zdawało się być w porządku.

- Jeśli chcesz, możemy zamówić drinki - zaproponował.

- Ten stary człowiek pewnie mówi teraz to samo tej biednej dziewczynie - rzekła półgłosem.

- Chodź tutaj. - Sam objął ją ramieniem. - Dlaczego o tym nie porozmawiamy? Czy tylko widok tej... pary tak cię zmartwił? - Usiadł na skraju łóżka i przyciągnął ją do siebie. Milczała. Jej ruchy straciły swój wdzięk. Sam czuł wyraźną niechęć dziewczyny. - To nie o tę parę chodzi, prawda?

W milczeniu potrząsnęła głową.

- Tu tkwi coś głębszego, tak, Bree?

- Tak, coś głębszego - mruknęła i lekko się do niego uśmiechnęła. -

Przepraszam. Z pewnością nie zapłaciłeś za pokój po to tylko, żeby wysłuchiwać jakiejś smutnej historii z mojej przeszłości.

- Może właśnie po to. - Sam czule dotknął jej policzka. - Skąd wiesz, czy nie zadzwoniłem na recepcję i nie poprosiłem o słoneczny apartament, w którym mógłbym spokojnie porozmawiać? - Bree odwróciła głowę. - Każdy ma prawo dzielić się swoimi niemiłymi wspomnieniami. Co się stało, Bree?

Zacząła opowiadać tę historię. Nudne przyjęcie u jej przyjaciółki. To okrutne stwierdzenie Lisy Arthur znowu odżyło. „Wszystkie dzieci adoptowane z chińskich sierocińców są dziećmi prostytutek”.

Wątpliwości. Obawa przed noszeniem ubrań, które mogłyby ją zakwalifikować do grupy kobiet uprawiających najstarszy zawód świata.

Sam słuchał uważnie.

- Czy rozmawiałaś o tym kiedykolwiek z twoimi rodzicami?

- Nie. Pamiętasz serial „Korzenie”? Nadawano go w telewizji.

Wszyscy rozmawiali wówczas o swoich przodkach i drzewach genealogicznych. Pobudziło to moją ciekawość, więc zapytałam o swoje pochodzenie, o rodzoną matkę i ojca. - Bree przerwała, jakby chciała przypomnieć sobie ten moment. - Mama powiedziała, że wie niewiele, a to, co wie, nie będzie miało żadnego wpływu na moje życie. Już nigdy więcej nie zadawałam podobnych pytań.

- To dlaczego nie zadzwonisz do nich teraz?

- Do kogo?

- Do twoich przybranych rodziców?

- Przecież ci mówiłam, że są już na emeryturze i mieszkają w Arizonie.

- Płacę za pokój. Mogę również ponieść koszty rozmowy telefonicznej.

- Sam...

Podniósł słuchawkę.

- Wykręcę numer za ciebie.

Bree spojrzała na aparat telefoniczny.

- O co właściwie mam ich zapytać?

- Zapytaj ich o prawdę. Masz przecież prawo wiedzieć, kim byli twoi prawdziwi rodzice.

- Sam, a jeśli ojciec Lisy Arthur miał rację?

- Wtedy będziesz znała prawdę. Na Boga, Bree. Przecież jesteś mistrzynią. Nie przestałaś uczestniczyć w zawodach czy w życiu publicznym z powodu jakiejś uwagi o twoim pochodzeniu. - Położył palec na tarczy. - Nikt nie musi o tym wiedzieć. I ten twój nieuzasadniony wstyd to naprawdę nonsens. A teraz, proszę, podaj mi numer.

Sam delikatnie trzymał Bree w swoich ramionach. Dziewczyna milczała. Zamówili do pokoju lekki lunch.

Sam nie miał już zamiaru kochać się z nią w tym wynajętym apartamencie. Wątpliwości, które dręczyły ją w wieku dojrzewania, pozostawiły w jej sercu zbyt głęboką ranę, by mogła zabiłnić się w ciągu kilku najbliższych godzin.

Bree westchnęła i spojrzała na Sama.

- Nie mam pojęcia, gdzie szukać informacji o swoich przodkach. Wszystko, co kiedykolwiek wiedzieli Herbert i Anna, to moje chińskie imię. Nic więcej.

- Kimkolwiek byli twoi biologiczni rodzice, z pewnością cię kochali - zapewnił ją Sam. - Świadczy o tym imię, które ci dali. - Wysłana przez niebo. Niebiańska przesyłka - powtórzył.

- Tak bardzo chciałabym wiedzieć... - szepnęła.

- Więc wymyślmy twoją przeszłość. Będziemy tu leżeć i marzyć.

Kim byli twoi rodzice? Gdzie się spotkali? Zacznijmy od twojej rodzonej matki.

- Znana aktorka z Hong Kongu - ożywiła się Bree.

- Piękna, inteligentna, bardzo utalentowana... ale odrzucona przez swoją rodzinę z powodu zawodu, który wybrała. - Przerwała i dotknęła perłę na swojej szyi. - Pewnego dnia poproszono ją, by wystąpiła na dworze królewskim.

- Na dworze królewskim? - zapytał ze śmiechem.

- Czy w jakimś odległym kraju?

- Następcą tronu tej cudownej krainy - Silikonii - był wspaniały, szlachetny książę - kontynuowała Bree.

- Tylko mi nie mów, że ty jesteś prawowitą dziedziczką...

- Cicho. - Bree położyła palec na ustach Sama. - Dalszy ciąg historii.

Moja matka występowała dla rodziny królewskiej. Książę się w niej zakochał i podarował jej rodzinne perły, te, które teraz mam na sobie. A potem... wzięli ślub.

- Wzięli ślub? - Powtórzył jeszcze bardziej zdumiony.

- Tak, w porywie namiętności. Później podróżowali po Europie i po Afryce. Nie mówili, że są małżeństwem - opowiadała dalej - by nikt nie stanął na drodze ich szalonej miłości. Pewnego dnia ona odkryła, że nosi w sobie nowe życie. Gdy zdradziła ten sekret swemu mężowi, on niemalże oszalał ze szczęścia.

- A co z królową Silikonii? Jak ona zareagowała na tę wspaniałą nowinę? - dociekał Sam.

- Moja babka, królowa, była kobietą nikczemną i przebiegłą.

Postanowiła przyjąć aktorkę w swoim domu...

- Ale to był oczywiście podstęp?

- Tak, zaczęła knuć spisek, ponieważ pragnęła, żeby jej syn poślubił inną.

- Proszę dalej, księżniczko - zachęcił Sam.

- Zanim przyszedłam na świat, księżę został wysłany z misją.

- Z pewnością do innego kraju? - rzekł Leong.

- Tak. Kiedy powrócił, nie spotkał już swojej żony.

Okrutna królowa powiedziała mu, że dziewczyna umarła przy porodzie, a zaraz potem umarło dziecko. Księżę opłakiwał ich i często odwiedzał groby na niewielkim królewskim cmentarzu.

- Groby na cmentarzu?

- Tak, ponieważ wymyśliła to wszystko królowa i kazała swoim ludziom usypać groby.

- A więc to jest twoja historia - westchnął Sam.

- Tak, opowieść miłosna zaprawiona goryczą. Piękna, nie sądzisz?

Sam delikatnie głaskał jej dłoń. Oboje leżeli na łóżku i odpoczywali ogrzewani promieniami słonecznymi wpadającymi przez okno.

- Tak, to jest bardzo romantyczna opowieść. - Sam zamknął oczy i przygarnął Bree. - Córka sławnej aktorki z Hong Kongu, która została żoną księcia. Czy wdowiec ożenił się po raz drugi i miał inne dzieci?

- Nie. Mój zrozpaczony ojciec przemierzał ulice Hong Kongu i żył wspomnieniami o swojej prawdziwej miłości. Pewnego dnia spotkał moją matkę. Doznał szoku, kiedy ją zobaczył. - Bree westchnęła. - Pracowała w

nocnym klubie. Opowiedziała księciu swoją smutną, tragiczną historię o tym, że zła królowa wypędziła ją z pałacu, a dziecko oddała do sierocińca.

- A potem?

- Poszukiwali dziewczynki we wszystkich sierocińcach, ale bezskutecznie. Zrozpaczeni i załamani rodzice wyruszyli w długą wędrówkę. Znaleźli dla siebie kryjówkę na dziewiczych górskich terenach. Wciąż tam żyją na wygnaniu.

- Czy czujesz się teraz lepiej? - zapytał miękko.

- Tak, to miło wiedzieć, że jestem dzieckiem ludzi, którzy mnie kochali. - Bree uśmiechnęła się i przesunęła dłonią po nakryciu łóżka. - Powiedziałeś, że kiedyś będziemy się kochać w słońcu, a teraz ono już zachodzi. Przepraszam...

- Takie słońce i tak nie jest odpowiednie. - Sam roześmiał się i przytulił ją mocno.

Bree westchnęła.

- Sam, dziękuję za wyrozumiałość. Nie czułam się dobrze w tym pokoju, kiedy tu weszliśmy.

- Cicho, wszystko w porządku. Jestem szczęśliwy, że mogę leżeć tutaj blisko ciebie.

- Obawiałam się - zaczęła rozpinąć koszulę Sama - że przeżywamy to, co niektórzy nazywają nieokiełznaną namiętnością.

- Przez ostatnie parę godzin świetnie się kontrolowaliśmy. - Sam ściągnął jej sukienkę.

- Zawsze istnieje niebezpieczeństwo, że zaczniemy zachowywać się jak zwierzęta - szepnęła i rozpięła mu rozporek.

- Ale nie my - zapewnił, przesuając dłonią po delikatnej koronce jej stanika. - Zwierzęta nie wynajmują pokoi w hotelu.

RS

Rozdział dziesiąty

- Bree, czy jesteś pewna, że chcesz szpiegować rowerzystów Sama? - powtórzyła Cynthia Goodman. - To może faktycznie jest jakieś rozwiązanie, ale...

- Musze podjąć pewne środki ostrożności - przerwała Bree. Stała w garderobie Cynthii i uważnie przyglądała się swojemu odbiciu w ogromnym lustrze. - Te wszystkie pogłoski doprowadziły moich gości do szału przez ostatnie dwa tygodnie. Musze odkryć prawdę.

- Mówisz jak-Superman. Prawda, zaufanie i amerykański styl. Szkoda, że nie chcesz mnie zabrać na tę wyprawę.

- Twój pokój jest zapchany kostiumami i rekwizytami. Wiesz również wszystko o sztuce aktorskiej. - Bree poprawiła perukę w kolorze blond, którą Cynthia wydobyła dla niej z szuflady. - Czy sądzisz, że nikt mnie nie rozpozna?

- No cóż... Powiedzmy, że nigdy nie widziałam kogoś podobnego do ciebie. - Cynthia stała z boku i krytycznie oceniała wygląd przyjaciółki. - Jak zamierzasz obserwować wszystkich w barze, skoro nałożyłaś te okulary przeciwsłoneczne?

- Dobre pytanie. - Bree zdjęła okulary i spojrzała w lustro.

- A gdybym tak na jedno oko nasunęła przepaskę? - zwróciła się do przyjaciółki.

- Jeśli mam być szczerą, uważam, że to nie najlepszy pomysł - odpowiedziała Cynthia. - Włosy blond i jedno skośne oko wyglądają bardzo podejrzanie. A może zwykłe okulary? - zaproponowała. - Mam

gdzieś takie. Musiałam je nosić, kiedy grałam rolę Miriam w „Music Man”.

- Świetnie, będę zatem elegancką blondynką - zażartowała Bree.

Wygładziła zamszową, dopasowaną, długą do kolan spódnicę. Kamizelka, również z zamszu, i czarny, bawełniany golf dopełniały całości.

- Wyglądam chyba jak bibliotekarka. - Wciągnęła kozaki i przemaszerowała przez sypialnię Cynthii.

- Sądzę, że twój chód wymaga dopracowania - powiedziała Cynthia, obserwując Bree. - Przyciąga uwagę. Spróbuj go trochę zmienić.

- Dla Silver Rockets? - westchnęła Bree. - Może nie powinnam się tak martwić. Przecież to wszystko tylko na godzinę... Niezależnie od tego, ile czasu mi to zajmie, muszę zdobyć dowody, że Sam coś kombinuje. Bo inaczej, skąd wzięły się te plotki o włoskich mnichach, multiwitaminach itp...

- Dlaczego nie pójdziesz do Sama i nie zapytasz go wprost o te pogłoski?

- Mamy umowę, że nie będziemy rozmawiać o sprawach zawodowych w czasie prywatnych spotkań, jedynie na zebraniach komitetu. Nie chcemy, żeby kłopoty służbowe ingerowały w nasz osobisty związek.

- A jeśli stracisz zaufanie do Sama z powodu tych pogłosek? - Cynthia podała Bree dwa długie kolczyki. - Nie mogłabyś zapytać go otwarcie, czy planuje jakieś brudne sztuczki?

- Tu nie chodzi tylko o mnichów. - Bree nałożyła kolczyki. - Albo pogłoski rzeczywiście mają coś wspólnego z faktami, albo ktoś celowo

deformuje prawdę i rozsiewa te brednie, by zdenerwować moich ludzi. Nie miałabym jeszcze nic przeciwko multiwitaminom, ale nadzór helikoptera?

- A ty co zrobiłaś, by przygotować się do wyścigu?

- Nic. Wyścig ma być bezpieczny... i ma być zabawą - wszyscy jesteśmy w szczytowej formie.

Ignorując ciekawskie spojrzenia taksówkarza, Bree zapłaciła i wysiadła przed barem „Handle”. Wiedziała, że w tym lokalu kurierzy chętnie spędzają swój wolny czas. Bree jeszcze raz okrążyła budynek, by przećwiczyć swój chód.

Sięgnęła do torebki i wyjęła okulary, które dała jej Cynthia. Włożyła je na nos i ku swojemu przerażeniu odkryła, że nie są one rekwizytem. Otworzyła drzwi baru. Soczewki przekształciły ciemne, wypełnione dymem wnętrze w jeszcze ciemniejszą i zamgloną plamę.

Odzyskując spokój ducha, Bree weszła do lokalu, zapominając o wystudiowanym kroku. Spojrzała w stronę barku. Okulary zniekształciły otaczającą ją rzeczywistość. Nawet zamszowa spódnica zdawała się w tym momencie działać przeciwko niej.

Kiedy dziewczyna zrobiła krok w stronę lady, omal nie upadła. W porę jednak przytrzymała się blatu. Usiadła na wysokim stołku.

- Co ma być? - zapytał szybko właściciel baru.

- Jasne piwo, mój przyjacielu - odpowiedziała zmienionym głosem. „Zmieszaj się z tłumem” - przypomniała sobie radę Cynthiai.

W lokalu znajdowali się podejrzani ludzie. Przeważnie rowerzyści i motocykliści, zarówno mężczyźni, jak i kobiety. W pomieszczeniu dominował zapach piwa i potu, a hałas dochodził do dziewięćdziesięciu decybeli. Bar „Handle” słynął z improwizowanych jam sessions. Teraz też

ktoś siedział za pianinem, próbując wydobyć z niego jakieś dźwięki, które przypominałyby melodię.

Obserwując znad okularów towarzystwo, Bree rozpoznała siedzącego obok siebie mężczyznę. Nazywano go Waterloo i był on posłańcem z Silver Rockets. Prawdopodobnie będzie jednym z faworytów maratonu, jeśli zachowa ostrożność. Chyba że zostanie zastąpiony przez mnicha.

- Przylatują z Włoch za tydzień. - Waterloo wyjaśniał koledze. - Nie będziemy mieć dla nich zbyt wiele czasu - prawdopodobnie będziemy pracować z nimi po godzinach. Czy to nie podobne do Sama? Zaufać obcokrajowcom...

„Co za przypadek!” - pomyślała uradowana Bree. Do lokalu weszło kilku kurierów z Silver. Rozpoznała emblematy firmy Sama na koszulkach i bluzach gości.

Usiedli przy stolikach. Bree również zmieniła swoje miejsce, próbowała nie zwracać na siebie uwagi. Posłańcy spędzili dwadzieścia minut, opowiadając sobie o swoich ulicznych przygodach.

W tym czasie Bree zamówiła drugie piwo. Miała wrażenie, że na jej czole widniało wypisane dużymi, czerwonymi literami słowo „oszustka”.

Kiedy zakładała jedną nogę na drugą, zamszowa spódnica podwijała się do góry. Czując się nieskromnie, przysłaniała odkryte uda papierowymi serwetkami, które za każdym razem, kiedy ktoś przechodził, z szelestem spadały na podłogę.

Sącząc swoje piwo, błagała w myślach siedzących obok młodzieńców, żeby zaczęli ujawniać bardziej użyteczne informacje. Ta cała gadanina zaczynała ją denerwować.

Ktoś powiedział słowo „sterydy” - a może chodziło o stereo?

Próbowała niepostrzeżenie się przechylić w ich stronę, by lepiej słyszeć rozmowę.

- To będą dziewicze, zupełnie nie tknięte Moncasy - powiedział jeden z chłopców.

Bree czuła podniecenie. Wskazówka. Dziewiczy mnichowie. Miała już dowody, że Sam używa podstępnych sztuczek, żeby wygrać wyścig. Sterydy i mnisi, którzy żyją w celibacie. „Ale dlaczego - pytała siebie - Sam chciał wydać fortunę, żeby wynająć mnichów?”

Sam Leong wszedł do baru i stał przez chwilę przy wejściu. Nie zwrócił uwagi na swych pracowników. Za to dostrzegł coś dziwnie znajomego w blondynce, która siedziała przy jednym ze stolików. Ta kobieta w okularach zdawała się być nadmiernie zainteresowana rozmowami jego gości i to zaintrygowało Sama.

Leong przysiadł z boku i czekał, aż kobieta się odwróci. Spojrzał na swój zegarek. W każdą środę o siódmej wieczorem serwowano w tym barze jego ulubioną pizzę z sardelami, której nie potrafił się oprzeć.

Właściciel baru zadzwonił głośno, rozpoczynając sprzedaż specjalnej pizzy za jednego dolara. Sam z uwagą śledził zachowanie dziwnie znajomej blondynki.

Bree była głodna. Zapomniała zjeść lunch, a piwo dodało jej niezwyklej śmiałości. Dziewczyna poczuła zapach pizzy, zanim jeszcze zdołała ją dostrzec przez grube soczewki na tacy barmana.

- Moja ulubiona. Biorę jedną. Nie, dwie poproszę - krzyknęła, zapominając o swojej roli.

Sam spojrzał zaskoczony, kiedy usłyszał znajomy głos Bree.

Nie wierzył własnym uszom, ale po chwili rozpoznał twarz dziewczyny.

- Co jest, u diabła... - mruknął i podał barmanowi dolara za gorącą pizzę. Usiadł przy stoliku w kącie sali, jadł pospiesznie, obserwując Bree. Potem szybko wyszedł z baru.

Bree wchodziła na schody z wielkim wysiłkiem. Skórzane kozaki uwierały ją w stopy, a zamszowa spódnica utrudniała jej ruchy.

Zapaliła światło w kuchni i zrobiła sobie mocnej kawy. Pragnęła przemyśleć to wszystko, co usłyszała w barze.

Kiedy weszła do pokoju, krzyknęła z przerażenia. Na krześle siedział mężczyzna - blondyn z czarnym wąsikiem. Miał na sobie obszerny płaszcz i sączył jakiś płyn z kubka zakupionego w wesołym miasteczku.

- Kim jesteś? - zapytała głośno.

- Z wesołego karnawału, Bree. - Głos wydał się jej dziwnie znajomy. Spojrzała uważnie na podejrzanego osobnika.

- Sam? - zapytała niepewnie. Teraz już wyraźnie rozpoznała rysy jego twarzy. - Jak mogłeś użyć klucza i wejść tu, żeby mnie przestraszyć? I to twoje śmieszne przebranie. Blond peruka i czarny wąs!

- Wcale nie zamierzałem cię przerazić. Chcę tylko, byś odpowiedziała na jedno pytanie. - Zdjął kapelusz i odrzucił go na łóżko. Wstał z krzesła i włożył ręce do kieszeni. Badawczo spoglądał na Bree. - Dlaczego szpiegowałaś moich pracowników w barze „Handle”?

- W barze „Handle”?

- Nie próbuj się wykręcić. - Sam chwycił ją i przyciągnął do siebie. - Przecież nigdy nie chciałaś być blondynką. Zresztą ten kolor wcale do ciebie nie pasuje.

- W barze nie słyszałam skarg na ten temat - rzekła pokornie.

- Nie próbuj robić ze mnie głupca. - Sam przytulił ją mocniej. - Czy naprawdę myślałaś, że ukryjesz przede mną te piękne oczy, te różane usta

- musnął jej wargi - i ten zgrabny tyłeczek?

- Co to znaczy? Czy to przesłuchanie? - zagadnęła ze śmiechem.

Sam trzymał ręce na jej pośladkach i całował ją namiętnie.

- Zamierzam więzić cię w moich ramionach, dopóki nie wyznasz mi całej prawdy - rzekł stanowczo. - Wiesz, co cię zdradziło?

- Nie, powiedz, co? - Bree usiłowała zachować powagę.

- To, w jaki sposób rzuciłaś się na pizzę.

- No, niestety, to moja słabość - uwielbiam pizzę z sardelami - wyznała ze śmiechem.

- Teraz powiedz, dlaczego szpiegowałaś moich ludzi? - Sam zaczął podciągać jej spódnicę w górę.

- Słyszałam przedziwne pogłoski i różne plotki - wyjaśniała - które bardzo mnie zaintrygowały.

- Jakie pogłoski?

- Przecież nie mieliśmy rozmawiać o sprawach zawodowych ani o maratonie wtedy, kiedy spotykamy się prywatnie - rzekła wymijająco. Nie chciała przyznać się do tego, że wierzyła w te wszystkie plotki.

- Jak myślisz, dlaczego jestem w tym przebraniu? Możemy porozmawiać na ten temat jak zupełnie obcy sobie ludzie - zaproponował Sam. - Albo odłożmy na jakiś czas naszą umowę i zdejmijmy te głupie peruki. Nie wiem jak z twoją, ale moja wywołuje u mnie swędzenie głowy.

Sam ściągnął swoją perukę i zrzucił obszerny płaszcz z ramion. Bree również pozbyła się dziwnego stroju.

- A teraz, Bree, opowiedz mi o tych pogłoskach.

- Słyszałam, że masz zamiar zatrudnić włoskich mnichów, którzy są najlepszymi kolarzami na świecie.

Sam był tak zaskoczony, że nie mógł nic powiedzieć. Wolno usiadł w fotelu. Przyciągnął Bree i posadził ją sobie na kolanach.

- Włoscy mnisi? Kto? Jak? Kto to wymyślił?

- Nie możesz temu zaprzeczyć - odparła. - Podśledzałam, jak twoi ludzie rozmawiali o tym w barze. Kurierzy twierdzili, że ci wspaniali zawodnicy mają przyjechać z Włoch za tydzień.

Uderzył się dłonią w czoło.

- Oczywiście! - krzyknął. - Zamówiłem nowe rowery. To włoski sprzęt. Ma tu rzeczywiście być za tydzień.

- To nie mnisi?

- Rowery nazywają się „Moncas”. - Przeliterował nazwę. - Wiesz, nigdy nie byłem zwolennikiem zamszu, ale na tobie... - Jego ręce wśliznęły się pod spódnicę dziewczyny. Po chwili usta Sama i Bree złączyły się w namiętnym pocałunku.

- Hmm - westchnęła. Siedząc mu na kolanach, wyczuwała podniecenie mężczyzny. - Jak ja ci mogę ufać? - szepnęła.

- Ufać mi? - Sam roześmiał się. - To nie mnie przyłapano na szpiegowaniu. Skąd mogę wiedzieć, że gdzieś pod ubraniami nie skrywasz małego magnetofonu i nie nagrywasz tej rozmowy? Sądzę, że będę musiał cię przeszukać. - Wsunął rękę pod podkoszulkę Bree, pogłaskał brzuch, a

po chwili delikatnie zaczął masować jej piersi. - Muszę cię zrewidować od góry do dołu i z powrotem - szepnął namiętnie.

Bree zdjęła jego koszulę. Jej palce czule pieściły tors mężczyzny.

- Sądysz, że ja nie przeprowadzę śledztwa? Z pewnością gdzieś schowałeś jakiś mały nadajnik. - Pochwyciła sprzączkę jego paska i rozpięła ją, po chwili sięgnęła ręką niżej.

Bree poczuła narastające pożądanie. Sam drżał z podniecenia, pobudzony jej delikatną pieśzczotą.

- Sam - jęknęła. - Jeszcze nigdy nie kochaliśmy się na krześle.

- Dlaczego nie mielibyśmy spróbować...

Powoli zdjął Bree skąpe majteczki. Dotknął jej wilgotnej kobiecości. Bree uniosła biodra w górę i opuściła je powoli. Po chwili poczuła żar rozpalonego fallusa wypełniającego jej pulsujące wnętrze.

- Chce ciebie! Proszę!

Delikatne, miarowe ruchy Sama przerodziły się w erotyczny, oszalały taniec. Przepiękny balet miłości.

Sam pocałował Bree i wyszeptał po chińsku jakieś pieśzczotliwe słowa.

- Co to znaczy? - zapytała. - To, co przed chwilą powiedziałeś.

- To takie czułe słowa - odrzekł przekornie. - Nie wiem, czy potrafiłbym je przetłumaczyć.

- Spróbuj - poprosiła.

- Dobrze. Powiedziałem właśnie, że cię kocham. Bree była zbyt zaskoczona, żeby odpowiedzieć cokolwiek.

- I to jest szczerą prawdą - zapewnił.

- Proszę, naucz mnie - szepnęła. - Proszę, naucz mnie mówić „kocham cię” po chińsku.

- Nie. - Sam pocałował dłoń dziewczyny. – Nie chcę, żebyś naśladowała moje słowa. Ty swoich uczuć nie musisz wyrażać słowami. To, co do mnie czujesz, widzę w twoich oczach, Bree.

- Więc będę mówiła do ciebie po angielsku, przynajmniej do czasu, kiedy zapiszę się na kurs języka chińskiego.

- Czyżby?

- Jestem pewna, że są szkoły, które uczą chińskiego kochanków. - Bree roześmiała się cicho.

- O Boże, proszę... Nie śmieję się - jęknął Sam.

- Dlaczego nie? - zapytała zaskoczona.

- Ponieważ właśnie niedawno kochaliśmy się, a twój śmiech jest tak rozkosznie podniecający... Wręcz trudny do zniesienia.

- W porządku - zakomunikowała Bree i położyła swoją głowę na jego ramieniu - zachowam powagę... dla twojego bezpieczeństwa. - Kiedy zaczęła się rozglądać po pokoju, zauważyła peruki leżące obok krzesła. Nie potrafiła stłumić śmiechu.

- Bree!

- Nie mogę nic na to poradzić. Przypomniałam sobie, jak wyglądałeś w tej peruce i w tym ogromnym płaszczu - rzekła rozbawiona.

- Czy wiesz, co narobiłaś?! - Zbeształ ją. - Będziemy musieli się kochać... jeszcze raz.

Rozdział jedenasty

Żółta żarówka oświetlała numer budynku. Sam rozejrzał się po nieprzyjaznej okolicy. Powtórnie zapukał do drzwi. Przez małe okienko wyjrzał starszy mężczyzna.

- Kto tam? - zapytał gruby, męski głos.

- Samson.

Drzwi uchyliły się powoli. W progu stanął niski, łysy mężczyzna w obszernym fartuchu. Wyjrzał ostrożnie. Skierował światło latarki na twarz Sama.

- Na Boga, Ralph, przecież to ja. - Sam chwycił klamkę i wkroczył do wewnątrz. - Oglądałeś zbyt dużo filmów z Jamesem Bondem. My zajmujemy się rowerami, a nie bombami. Gdzie są wszyscy?

Ralph zamknął drzwi i wskazał Samowi drogę.

- Tędy.

Wokół unosił się zapach świeżej farby i smarów. Weszli do przestronnej hali. Gońcy testowali nowe, sprowadzone z Włoch rowery. Wszystkie pojazdy przemalowano na kolory identyfikacyjne Silver Rockets; były one czerwono-srebrno-czame.

W hali zbudowano trasę treningową ze znakami drogowymi i różnego rodzaju pochyłościami. Na środku pomieszczenia stał Joseph „Mojo” Montgomery i udzielał instruktażu bezpiecznej jazdy przyszłym maratończykom. Wszyscy trenowali ochoczo. Leong zapowiedział im, że albo nauczą się przestrzegania przepisów drogowych, albo stracą pracę.

Leong podszedł do miejsca, gdzie stały wolne rowery. Wybrał jeden z nich i po chwili już pedałowal na trasę treningową. Jednak Ralph zawołał za nim.

- Nie zapomniałeś czegoś, Samson?

- Czego? - zapytał zdziwiony. Ralph niósł w ręce kask ochronny. Sam bez słowa zszedł z roweru i założył kask. Wsiadł na pojazd i ruszył.

Wśród rowerzystów dostrzegł znajomą kobiecą twarz. Rozpoznał swoją siedemnastoletnią bratanicę, Emeraldę Leong. Dziewczyna uczęszczała do college'u i pracowała w firmie przez lato jako pieszy gонец, żeby zarobić na szkołę.

- Emerald! - krzyknął i dał znak rowerzystom, żeby się zatrzymali.

Dziewczyna podjechała do niego i spojrzała z lękiem.

- Jestem już prawie w grupie zaawansowanych, wujku Samie. Czy chcesz zobaczyć, jak wykonuje slalom?

- Emi, jesteś kurierem pieszym i nie znasz się na tym. Ci ludzie ćwiczą do maratonu. Są doświadczeni. A ty jak się tutaj dostałaś?

- Jeden ze znajomych zaproponował mi, bym tu przyszła. - Zdjęła swój kask. - Proszę, nie gniewaj się, wujku, ale tak bardzo chciałabym wziąć udział w wyścigu. Zbierałam punkty przez cały miesiąc. Myślę, że dam sobie doskonale radę, wujku Samie.

- Nie pozwalam ci pojechać - powtórzył. - Czy twoi rodzice wiedzą o tym? - Pomyślał o Nelsonie i Catherine. - Z pewnością byliby przerażeni tą wiadomością.

- Nie. Ale to nie ma znaczenia. - Emerald! spojrzała Samowi w oczy.

- Jestem naprawdę dobra, równie dobra jak ty, kiedy wujek Chester zatrudnił cię jako kuriera. - Mówiła stanowczo, ale z szacunkiem. -

Zasłużyłam sobie na maraton i zdobyłam odpowiednią ilość punktów. Poza tym, przecież to ma być zabawa, więc nikomu nic się nie stanie.

Sam zagryzł dolną wargę. Z trudem powstrzymywał gniew. Dobry Boże, czy rzeczywiście jego styl życia miał taki wpływ na młodszą generację Leongów? Dziewczyna była tak samo uparta jak on, kiedy miał siedemnaście lat. I jak miał dwadzieścia jeden. I dwadzieścia pięć.

- Oddaj Ralphowi rower - rozkazał twardo. Wciąż stała w tym samym miejscu.

- Rozmawialiśmy już o tym wcześniej, Emi. Nie pozwolę ci jeździć, dopóki nie będziesz starsza. Jest mnóstwo innej, bezpieczniejszej pracy w firmie.

- Ale, wujku, moje punkty.

- Nie ma nawet dyskusji. - Sam ujrzał rozczarowanie na jej młodziutkiej twarzy. - Możesz pomóc ochotnikom przy linii startowej czy też przy mecie, ale nie pozwalam, byś brała udział w wyścigu.

- Więc i w Silver Rockets odkryli oszustwo! - Bree uśmiechnęła się do Sama. Szła razem z nim. Sprawdzali numery startowe zawodników i nazwiska na listach.

- Które przedszkole zatrudniłeś do malowania numerów? - zapytała. - Nawet nieźle im to wyszło.

- Złościca. - Odciał się ze śmiechem. - Przypuszczam, że na początku nie miałaś o mnie najlepszego zdania? - Skinęła głową. - Teraz już wiem, że to nic złego podpatrzeć kilka pomysłów u swoich konkurentów.

- Czy łamiemy dzisiaj zasadę zabraniającą nam rozmów o biznesie i rowerach? - zagadnęła wesoło.

- Nie będziemy mieli czasu mówić o czymkolwiek innym, Gazelo! To nasze kolejne, wielkie przedsięwzięcie. Kolejny sukces dla kampanii. Co powiesz o uroczystej kolacji dzisiaj wieczorem? Mogłabyś założyć tę czerwoną, atłasową sukienkę.

- Jestem za. - Bree uśmiechnęła się. Tak naprawdę, to nie musiała zakładać tej sukienki. To było po prostu ich hasło, które oznaczało intymny wieczór.

Podszedł do nich reporter z telewizji i poprosił o wywiad. Zresztą czwarty z kolei od chwili ich przybycia tutaj.

Bree zabrała Samowi listy z nazwiskami zawodników.

- Teraz twoja kolej, żeby z nimi porozmawiać. Ja skończę sprawdzać! - Założyła pomarańczową kamizelkę na jedno ramię i ruszyła w stronę grupy rowerzystów.

- Nazwisko i firma? - zapytała bardzo młodą kobietę.

- Emeralda Leong - odrzekła dziewczyna, patrząc w ziemię, - Silver Rockets.

- Emerald! - Bree uśmiechnęła się, przypominając ją sobie ze spotkań rodzinnych. - Hmm, ale nie widzę cię na liście. Czy wypełniłaś oficjalne...

- Tak, pani Jeffries, wszystko załatwiłam - wtrąciła szybko dziewczyna. Nerwowo bawiła się zapięciem swojego kasku. - Moje nazwisko powinno być na tej liście - ale jest przecież tak wielu Leongów. Prawdopodobnie zostałam przeoczona.

- Nie martw się. Mamy dodatkowe numery. - Bree położyła rękę na ramieniu dziewczyny, chcąc ją uspokoić. - Pamiętaj, że to tylko zabawa... i powodzenia!

- Zawodnicy muszą ukończyć wyścig, kładąc nacisk na bezpieczną jazdę, a nie tylko na szybkość -zakomunikował przewodniczący komitetu zebranemu tłumowi. - Sędziowie rozmieszczeni na całej trasie będą dyskwalifikować uczestników, którzy przekroczą zasady ruchu drogowego. To krótka trasa, ale znajdują się na niej wszystkie przeszkody, które gońcy spotykają w swojej codziennej pracy. Firma, której pierwsi czterej zawodnicy przekroczą linię mety, otrzyma nagrodę burmistrza - zakończył przedstawiciel komitetu.

Sam spojrzał na Bree.

- Twoja kolej - szepnął. Bree podeszła do mikrofonu.

- Mam nadzieję, że ten maraton spełni swoją główną rolę. - Zwróciła się do zebranych zawodników i widzów. - Uświadomi wam potrzebę zwiększenia bezpieczeństwa na naszych ulicach. Wszyscy znamy kurierów, którzy każdego dnia łamią zasady ruchu. Możemy za to obwiniać również naszych zleceniodawców, którzy żądają szybkiego realizowania zleceń.

Takie są po prostu reguły w tym biznesie. Ale wiemy, że nierozważny pośpiech bywa często zgubny. Sądzę, że kampania burmistrza pozwoli zmniejszyć ten problem do minimum. - Usłyszała aplauz tłumu. Uśmiechnęła się. - Teraz nie możemy pozwolić sobie na dawanie złego przykładu małym dzieciom. Wierzę, że wszyscy będziecie jak najlepszym wzorem.

Minutę później rozpoczął się wyścig. Tłum stojący po obu stronach trasy dopingował zawodników. Kamery telewizyjne rejestrowały przebieg zawodów. Bree, Sam i inni członkowie komitetu zostali przewiezieni na linię mety.

Raporty z trasy cały czas przekazywano kierownictwu przez nadajnik.

- Ach, widziałam Emeraldę. - Bree wspomniała mimochodem. - Zmienia się w piękną kobietę. Musisz być dumny...

- Gdzie ją widziałeś? - zapytał Sam.

- Na linii startowej, oczywiście - odpowiedziała Bree i weszła na podium.

- To dziwne. - Sam spojrzał na ochotników pracujących przy linii końcowej. - Powiedziała mi, że będzie pomagać tutaj, na mecie.

- Dlaczego szukasz jej wśród ochotników? - zapytała. - Przecież ona bierze udział w zawodach. Miała nowy rower i kask z Silver Rockets. Przydzieliłam jej numer...

- Czy jesteś tego pewna? - przerwał zirytowany.

- Tak. Była taka dumna, że uczestniczy w wyścigu. - Bree zaczęła przysłuchiwać się relacji z trasy. - Czy widziałeś już burmistrza?

- Co mnie obchodzi przekłety burmistrz! Gdzie Emeraldę? - krzyknął.

Bree wyczuła panikę w jego głosie. Bardzo ją to zaniepokoiło.

- Mój Boże, Sam. Czy ona nie miała uczestniczyć w tym maratonie? Powiedziała mi, że uwzględniono jej osobę. Co prawda, na liście nie widziałam jej danych, ale dziewczyna tłumaczyła, że z pewnością zaszła pomyłka i dlatego ją pominięto w spisie.

- Bree, Emeraldę ma siedemnaście lat. Nigdy nie jeździła rowerem po San Francisco! Jest pieszym kurierem z zaledwie czterotygodniowym doświadczeniem! Na tym górskim rowerze jeździła chyba tylko piętnaście minut. - W jego głosie była desperacja. Nerwowo sięgnął do kieszeni po

krótkofalówkę. - A niech to... Oddałem swój nadajnik Tony'emu. Bree, jeżeli cokolwiek się stanie...

Bree drżącymi dłońmi sięgnęła po swój nadajnik. W tym samym momencie pierwsi zawodnicy przekroczyli linię mety i tłum zaczął wiwatować.

- Przepraszam! — Bree krzyknęła. - Ale nic nie słyszę przez ten hałas.

Metę przekroczyła kolejna grupa uczestników. Znowu rozległ się aplauz publiczności. Ochotnicy pobiegli zapisywać numery. Bree wiedziała, że w czasie wyścigu wszystko może się wydarzyć. Przecież jechało ponad czterystu ludzi. Ze swojej własnej przeszłości pamiętała gorączkę współzawodnictwa.

Nagle dostrzegli zmierzającego w ich stronę człowieka. Tony O'Brien wbiegł po schodach podium.

Bree rozpoznała księgowego Silver Rockets, członka ogromnej rodziny Leongów.

Tony kurczowo ścisnął nadajnik w dłoni.

- Sam, wydarzył się wypadek!

Bree znieruchomiała. Czuła napływające do oczu łzy.

Wyraz twarzy Tony'ego wskazywał na to, że stało się coś strasznego. Sam bez słowa wyrwał nadajnik z ręki księgowego.

- Mojo! - krzyknął. - Zgłoś się, Mojo!

- Nie, Samson - powiedział spokojnie Tony i położył dłoń na ramieniu Sama. - Chodź, Nelson i Catherine będą nas potrzebować.

Hałas dobiegający z tłumu przycichł na moment. W krótkofalówce słychać było najpierw jakiś trzask, a potem głos. Sam przycisnął nadajnik do ucha.

Dziesięć minut później Bree pędziła przez korytarze szpitala. Maraton został zakończony. Kiedy czekała przy recepcji, nerwowo przekładała nagrodę burmistrza z ręki do ręki. Chciała dowiedzieć się, jak czuje się Emeraldal.

Pielęgniarka rozmawiała z jakimiś ludźmi. Bree spostrzegła Sama. Ruszyła w jego stronę. Stał oparty o ścianę naprzeciwko drzwi z napisem „Wstęp wzbroniony”. Miał przerażająco bladą twarz. Na jego letniej kurtce widniały zaschnięte plamy krwi.

- Sam? - szepnęła Bree, z trudem łapiąc oddech. Oczy mężczyzny wyrażały ból i bezsilność. - Czy widziałeś ją? - zapytała. Nie musiała pytać, jak doszło do wypadku. Moją wszystko jej opowiedział. Taka nowicjuszka jak Emeraldal łatwo straciła kontrolę nad rowerem, kiedy jakieś dziecko wybiegło na trasę. Z wielką siłą uderzyła w barierkę ochronną. Bree widziała roztrzaskany rower dziewczyny. Nikt inny oprócz Emeraldy nie odniósł obrażeń.

- Sam - powtórzyła. - Czy widziałeś ją? Jak ona się czuje?

Sam rozpaczliwie pokręcił głową.

- Ma złamaną szczękę i kilka kości policzkowych... Ma... parę wybitych zębów. Złamana miednica. Żebra. - Sam przerwał. - Mówiłem do niej, kiedy zszywali jej ranę na ramieniu. Bree, ona wygląda jak... Nie może mówić, wydaje tylko długi, niski, żalony jęk. Zanim środki przeciwbólowe zaczną działać...

Bree kurczowo chwyciła dłoń Sama. Łzy spływały jej wolno po policzkach.

- Gdzie jest Nelson i Catherine? - zapytała.

- Są w drodze. Cała rodzina ma się zebrać w domu rodziców. Em będzie na sali operacyjnej prawie przez całą noc.

- Sam, może wyczyścisz ubranie, zanim rodzice Em tu przyjadą.

Widok krwi mógłby ich tylko jeszcze bardziej przerazić.

- Jakiej krwi? - Sam nie mógł zrozumieć.

- Na twojej twarzy i na ubraniu...

- Tak, masz rację. Zaczekaj tutaj, dobrze? - powiedział cicho i poszedł do łazienki.

Bree czekała cierpliwie. Kiedy Sam wrócił, przekonała go, żeby usiadł na kanapie. Spostrzegła nagrodę stojącą na kontuarze w recepcji. Podeszła i zabrała ją stamtąd. Kiedy wróciła, usiadła obok Sama.

- To jest twoje - powiedziała miękko. - Nie chciałam tego zabierać do szpitala, ale nie miałam wyboru.

- Co masz na myśli, mówiąc, że to moje?

- Twoja firma wygrała. Twoi czterej pracownicy pierwsi przekroczyli metę.

- Wiesz co, Bree, to jest śmieszne - powiedział sarkastycznym tonem. - Miała na głowie ten przeklęty kask, ale on nie ochronił pozostałych części jej ciała. Dlatego ma tyle złamań.

- Sam, ale gdyby Emeraldą nie założyła kasku, mogłaby zginąć na miejscu. - Bree szybko otarła łzy brzegiem rękawa.

- Moja bratanica nie miała prawa brać udziału w tym idiotycznym wyścigu. - Sam gwałtownie wstał z kanapy. Trzymając nagrodę w ręku, niespokojnie chodził po holu.

Bree opanowało poczucie winy. Może to nie był najodpowiedniejszy czas i miejsce ku temu, ale czuła, że musi mu to powiedzieć.

- Sam, nie wiedziałam, że ona nie miała zezwolenia na udział w wyścigu. Powiedziała mi, że wszystko załatwiła, a poza tym nosiła kask z Silver Rockets i miała wasz rower. Co miałam wtedy myśleć?

- Nie powiedziałem, że ciebie o to obwiniam. - Spojrzał na statuetkę zawodnika siedzącego na rowerze. Podszedł do kosza na śmieci i wyrzucił nagrodę.

- Żałuję, że w ogóle usłyszałem o tej twojej kampanii - wyszeptał. - Albo, że wyzwałem cię na ten szalony pojedynek.

- Czy naprawdę tak myślisz, Sam? - Zacisnęła pięści.

Nie odpowiedział.

- Więc wszystko, co zrobiłam, jest nieważne z powodu wypadku Emeraldy - stwierdziła Bree i wstała. Czekwała na jego reakcję... Ale on nawet na nią nie spojrzał. - Może chciałeś powiedzieć, że żałujesz, iż mnie w ogóle spotkałeś...

- Nie powiedziałem tego - odparł obojętnym tonem.

- Nie musiałeś tego mówić - mruknęła i ruszyła ku wyjściu.

Rozdział dwunasty

- Kawę z ekspresu i... to wszystko, Frank - powiedziała Bree.

- Zamrażamy właśnie twoje ulubione lody. Mogę przynieść jedną porcję specjalnie dla ciebie.

Bree uśmiechnęła się do właściciela kawiarenki.

- Nie, dziękuję. Ale może proszę jeszcze o kanapkę z szynką i sałatą.

Usiadła przy pustym stole w kącie sali. Piła pomalutką swoją kawę.

Potrzebowała podwójnej dawki kofeiny. Nie spała trzy doby.

Nie odpowiadała na telefony Sama. Kiedyś nadejdzie czas, żeby porozmawiać o jego insynuacjach, ale jeszcze nie teraz. Podano jej kanapkę. Wspominała ten ranek, kiedy po raz pierwszy się kochali.

- Czy pozwolisz, że się przysiędę?

Poderwała się przerażona i upuściła serwetkę na kolana.

Spojrzała zaskoczona. Sam niósł porcje lodów w jednej ręce, w drugiej natomiast kawę. Bree wysunęła dla niego krzesło spod stolika.

- Skąd wiedziałeś, że tu jestem?

- To proste - odparł poważnym głosem. - Śledziłem cię od twojego domu.

- Sam, jeszcze nie jestem gotowa, żeby z tobą rozmawiać.

- Dzwoniłem do ciebie dziesięć razy.

- Dziewięć - poprawiła. - Pięć razy do biura i cztery do mojego domu.

- Jesteś zła?

- Nie, tylko trochę zdenerwowana.

- Dlaczego nie chcesz o tym porozmawiać?

- Jak czuje się Emeraldą?

- Dlaczego mnie pytasz? Przecież dzwoniłaś do Tony'ego.

- Po prostu się o nią martwię, Sam.

- Szybko wraca do zdrowia. Emeraldą jest dzielna i walczy, ale, oczywiście pozostaną blizny, na które będę musiał patrzeć przez całe życie.

Nastąpiło kłopotliwe milczenie.

Sam wyciągnął ze swojego deseru kawałek wafla i położył na środku kanapki. Bree zaczęła więc obgryzać ją dookoła. Zawiedziony umieścił na szynce kawałek czekolady.

Bree spojrzała na niego.

- Zaraz narysuję na tym stole granicę, panie Leong.

- Bree, proszę porozmawiaj ze mną.

- Nie, dopóki nie będę gotowa. - Bree palcem rysowała linię na stole.

- Powiem ci, kiedy będziesz mógł ją przekroczyć. - Nagle wstała i ruszyła w kierunku wyjścia.

Sam słyszał uderzenia jej obcasów o podłogę. Spojrzał na blat stolika i szybkim ruchem dłoni starł linię, którą narysowała Bree.

- Gazela, tu biuro. Masz pilne zlecenie. Na rogu ulicy Columbus parkuje niewielka ciężarówka. Należy do jakiejś szanowanej firmy. Chcą, żebyś odebrała od nich przesyłkę i dostarczyła ją do ich biura na peryferiach miasta. Powiedz, gdzie jesteś. Ustalę pozycje.

- Na czternastej, Karl. Podaj mi dokładny adres. - Bree zapamiętała podane informacje. Pomyślała o nadchodzącym zmierzchu. - To chyba moja ostatnia robota na dzisiaj. A co poza tym, Karl?

- Wszystko w porządku. Po raz kolejny dzwonił pan Leong.

- Czy przekazałeś mu to, o co cię prosiłam?

- Tak. Powiedziałem mu, że jesteś zajęta. Podliczasz rachunki i nie możesz odpowiedzieć na jego telefon.

- Świetnie - odparła, ale tak naprawdę wstydziła się sama za siebie. Zwodziła Leonga w ten sposób już od tygodnia.

- Zawiadom mnie, kiedy załatwisz zlecenie - poprosił Karl.

- Przyjęłam, koniec łączności.

Ruszyła pod wskazany adres. Błądziła, zanim znalazła małą ciężarówkę.

- Proszę porozmawiać z tym facetem z tyłu - powiedział tęgi mężczyzna, który wysiadł niespodziewanie z samochodu.

Bree zatrzymała się gwałtownie zaskoczona tym, co zobaczyła.

Tylne drzwi samochodu były otwarte. Wnętrze wyglądało jak przytulnie urządzone pokój z miękką sofą, małym stolikiem i dywanikiem na podłodze. Dochodziła stamtąd romantyczna muzyka. Bukiet róż uzupełniał wystrój pomieszczenia. Na stoliku stała taca z jedzeniem, butelka szampana i świece.

Świece. Wieczorny wietrzyk sprawił, że płomienie tańczyły. W ich świetle Bree dostrzegła cień mężczyzny siedzącego na sofie. Wstał i ruszył w jej stronę. Po chwili Bree rozpoznała Sama Leonga. Miał na sobie frak. Przyjaźnie wyciągnął do niej rękę.

- Jeśli już skończyłaś rachować, może zjesz ze mną kolację? Jak pewnie zauważyłaś, oprawa jest raczej niekonwencjonalna, ale mam nadzieję, że będzie ci wygodnie. - Poruszył ją zmysłowy głos Sama.

„Nadszedł czas, żeby dać mu szansę” - pomyślała. Ale nadal stała oszołomiona tym, co ujrzała.

Jeszcze nigdy żaden mężczyzna nie starał się tak o jej względy.

Czerwone róże. Cicha muzyka. Rzeźbiony, mahoniowy stół ze srebrnymi tacami pełnymi kanapek i różnych przysmaków, szampan...

- Obawiam się, że... że nie jestem ubrana stosownie do sytuacji. I ten rower... - powiedziała z wahaniem.

- Mam nadzieję, że o niczym nie zapomniałem -szepnął. - Tutaj znajdziesz wszystko, czego potrzebujesz. Możesz się przebrać za zasłonę. Jeśli chcesz, oczywiście. Jeśli czujesz, że potrafisz już ze mną rozmawiać.

Bree spojrzała niepewnie. Ten człowiek próbował przez cały tydzień się z nią skontaktować; telefonował, wysyłał kwiaty i kartki. Odpowiadała mu niegrzecznie i wymijająco, tak żeby go w końcu zniechęcić. Jednak on nie zrezygnował.

Dziewczyna uśmiechnęła się. Przypadł jej do gustu niezwykle pomysł Sama. Postanowiła skorzystać z zaproszenia.

Na podłodze dostrzegła narysowaną białą linię.

- Bree, możemy zetrzeć tę linię, która nas dzieli? -zapytał niepewnie.

W milczeniu skinęła głową.

Schylił się i zmazał dłonią białą kreskę.

- To będzie niezwykle wieczór. - Drzwi zostały zamknięte od zewnątrz. - Przebierz się, a ja w tym czasie otworzę szampana.

Kiedy weszła za zasłonę, znalazła tam wszystko, co było jej w tym momencie potrzebne. Miska gorącej, pachnącej jaśminem wody stała na dębowej toaletce. Było tam mydło, ręcznik i gąbka. Szczotka do włosów leżała obok lusterka. W małym koszyczku znajdowały się również kosmetyki.

Po krótkim wahaniu Bree zdjęła ubranie i zaczęła się myć. Potem okręciła się włochatym ręcznikiem. Poczowała się odświeżona i wypoczęta. Gdy wkładała na siebie jedwabny, czerwony sarong, jej ręce drżały.

Bree usiadła przed lustrem, żeby zrobić makijaż, ale ostatecznie pomalowała tylko usta. Usłyszała charakterystyczny wystrzał korka od

szampana. Sam Leong już czekał. Sprawa ewentualnej, wspólnej przyszłości rozstrzygnie się prawdopodobnie dzisiaj wieczorem.

- Zastanawiam się, co byś zrobił, gdybym nie przyjęła twojego telefonicznego zlecenia? - zapytała, wychodząc zza zasłony.

- Musiałbym cię porwać z ulicy- odparł z uśmiechem.

Przyglądał się uważnie kobiecie swoich marzeń.

Jej włosy spadły teraz na ramiona kaskadą błyszczących, czarnych fal. Skupił uwagę na twarzy Bree. Nie musiała się malować.

Popołudniowy wiatr zaczerwienił jej policzki, a czarne, gęste rzęsy nie wymagały podkreślenia.

Sam wręczył dziewczynie kieliszek szampana.

- Podejrzewam, że dałaś Karlowi długą listę wymijających odpowiedzi na moje telefony. Pomylił się ostatnio. Powtórzył jedną z nich dwa razy.

Bree roześmiała się z zakłopotaniem. Jednak odkrył jej diabelskie sztuczki.

- Myślałam, że stosuję bardzo oryginalne metody.

- Wypiła łyk szampana i podeszła do stolika. - Wszystko zostało wspaniale przygotowane, zapomniałeś tylko o małym szczególe. -

Spojrzała na swoje stopy.

- Jestem bosa.

- To nie przeoczenie. - Sam schylił się i wyciągnął spod sofy futrzany dywanik. - Nie mogę pozwolić na to, żebyś uciekła... - Jeśli jesteś gotowa, możemy ruszać.

Bree skinęła głową.

Sam wyciągnął krótkofalówkę.

- Jack, możemy jechać do punktu B. Pamiętaj, żeby omijać wyboje.
- Gdzie znajduje się punkt B? - zapytała zdziwiona.
- To miejsce, gdzie podadzą nam kolację i gdzie będziemy mogli zjeść w samotności. - Sam ujął jej rękę. Ciężarówka ruszyła.
- Moje biuro. - Bree nagle wstała. - Powinnam ich zawiadomić...
- Zawiadomić o czym?
- Że znajduję się w ciężarówce, z mężczyzną, którego... którego znam za dobrze.
- Nie martw się. Wiedzą, gdzie jesteś. Już powiadomiłem twoją załogę.

Dwadzieścia minut później kierowca ciężarówki zaparkował. Otworzyły się tylne drzwi. Bree westchnęła, zobaczywszy przepiękny widok. Przed nią roztaczała się wspaniała panorama San Francisco.

Kelner wniósł olbrzymią tacę.

- Kolacja podana - oznajmił Jack. - Zadzwoń po mnie, kiedy będziesz czegoś potrzebował.

Bree podziwiała różnorodność zaserwowanych potraw.

- Wszystko wygląda świetnie - rzekła do Sama.

Z miłością patrzyła na oświetlony świecami profil mężczyzny.

Chciała dotknąć jego pełnych ust i czarnych brwi.

- Chciałbym cię przeprosić - wyznał mężczyzna. - Za wszystkie niepotrzebne słowa, które wypowiedziałem. Nie obwiniam ciebie o to, co przydarzyło się Emeraldzie. Oskarżam samego siebie.

- Twoje przeprosiny zostały przyjęte. Nie musisz mówić nic więcej - odparła Bree. Sam musnął delikatnie jej usta.

- To wszystko ma swój sens. Chcę, żebyś zawsze pamiętała ten wieczór.

Sięgnął do wewnętrznej kieszeni swojego fraka i wyciągnął „ciasteczko szczęścia”.

- Bree, przełam to ciasteczko.

Bree rozłamała ciastko. Na jej dłoń wypadł pierścionek z szafirowym oczkiem i biały pasek papieru.

- Jaki piękny! - szepnęła.

- Przeczytaj swoją karteczkę szczęścia - zaproponował Sam.

- „Wysłana przez niebiosa, kochana na ziemi, wyjdź za mnie, żebyśmy znaleźli raj”. - Bree przeczytała te słowa głośno. W jej oczach pojawiły się łzy.

- Tak - szepnęła bardzo cicho.

Sam wsunął pierścionek na palec dziewczyny i schylił się, by ją pocałować.

- Bree, czy byłabyś zainteresowana połączeniem firm? - zapytał po chwili.

- Tak, ale po bardzo długim miesiącu miodowym -odparła.